DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

FOT. ALEX WONG/GETTY IMAGES

Geopolityka / M3

A jeśli Trump dogada się z Xi? Azja szuka planu B

Zmartwieniem przywódców wielu państw Indo-Pacyfiku jest przede wszystkim uniezależnianie się od kapryśnej polityki Stanów Zjednoczonych i Chin

pisze Witold Sokała

Gospodarka / M5

Wspólna podróż w przeciwnych kierunkach

Skład amerykańskiej delegacji sugeruje, że efektem wizyty prezydenta USA w Pekinie mogą być pojedyncze kontrakty, a nie kompleksowe porozumienie

tłumaczy Tomasz Jóźwik

9 772080 674051 20

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 93 (6762), 15–17 MAJA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl caf54d5d45

Gospodarka / M14

Przez USA idzie fala anty-AI

Zagrożenia stwarzane przez najnowsze modele sztucznej inteligencji skłoniły Biały Dom do zrewidowania podejścia do nowej technologii

pisze Emilia Świętochowska

Idee / M18

Szkoła anachroniczna, szkoda publiczna

Obecny model edukacji coraz wyraźniej rozmija się z potrzebami dzieci, neurobiologią ich dojrzewania i kompetencjami wymaganymi przez współczesny świat

zauważa Sebastian Stodolak

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Dobrą mową w sztorm

Jan Wróbel

Radosław Sikorski w dobrym wystąpieniu sprzed kilku dni zadeklarował, że „Europa wie, dokąd płynąć". Kierunek wskazują „trzy punkty orientacyjne: bezpieczeństwo, gospodarka i demokracja". Sęk w tym, że politycy czasem mówią o tym, co jest, a czasem o tym, co mogłoby być. Przekonanie, że Europa – niechby tylko UE – ma wytyczone cele i drogi dojścia do celu, wydaje się projekcją. Sam zresztą szef naszego MSZ trafnie zauważył, że „mamy początki wielkiego sztormu, ale jedno jest pewne, w czasie sztormów załoga musi pracować ręka w rękę, tylko działając razem, możemy utrzymać stabilny kurs". Tyle że nie chodzi o kurs stabilny, lecz o zmianę kursu. Europa, dziwny kawałek świata, który swoją nowoczesność powiązał z prawami człowieka i demokracją, odkrywa właśnie, że ma pod górkę.

Przez ileś lat po 1989 r. można było żyć w iluzji, że połączenie amerykańskiej dominacji militarnej i europejskiej demokracji parlamentarnej dowodzi naturalnej przewagi Zachodu nad resztą świata. Dzisiaj trzeba widzieć nie tylko sztormy kolejnych wojen i nawałnicę wywołaną przez obniżenie przez Waszyngton rangi sojuszu z Europą. Przede wszystkim trzeba zobaczyć, że europejskiemu Zachodowi nic się już samo z siebie nie należy. Narody świata czczą Chiny i Rosję, postrzegają europejski parlamentaryzm jako specyficzny eksperyment, a nie spełnienie marzeń o wolności człowieka. Gospodarka europejska nie przewodzi światu. Technologia made in Europe nie jest światu niezbędna do rozwoju.

To my mamy wytyczoną drogę. Zapożyczyć się w ramach SAFE, a przez to związać silniej z najważniejszymi gospodarkami europejskimi (tak się jakoś składa, że tym, czego mogą wyprodukować najwięcej, jest uzbrojenie). Zakupić jak najwięcej uzbrojenia z USA w przekonaniu, że amerykańskie lobby przemysłowe będzie w rezultacie namawiać prezydentów Stanów Zjednoczonych, by nie zostawiać Polski na pastwę Rosji. Z niejakim zdziwieniem obserwować, że polska gospodarka rośnie mimo mankamentów systemu prawnego i podatkowego; nie psuć. Demokrację mieć niezupełną, ale przedstawiać siebie jako jedynych jej obrońców przed nacjonalistami i jakoś to będzie.

Ten plan wystarczy, aby sztorm, o którym słusznie mówi Sikorski, nie zatopił Polski. Pod warunkiem że Europa stanie na nogi nie tylko w dobrych wystąpieniach polityków. ©℗

FOT. ZUZA KRAJEWSKA/MATERIAŁY PRASOWE

Wywiad / M20

Niech żyje życie! Precz z nawykami!

Noszę w sobie ciekawość dziecka i cały przez cały się czegoś uczę. Ciągle w ruchu. Niedługo skończę 83 lata, a mam tyle energii!

mówi Urszula Dudziak

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl caf54d5d45

Azja szuka planu B

FOT. MAXIM SHEMETOV/REUTERS/FORUM

Gdy Donald Trump rozmawia w Pekinie z Xi Jinpingiem, zmartwieniem przywódców wielu państw Indo-Pacyfiku jest przede wszystkim uniezależnianie się od kapryśnej polityki obu głównych mocarstw

Witold
Sokała

W stosunkach amerykańsko-chińskich mieliśmy ostatnio okres prężenia muskułów, robienia groźnych min, a nawet zadawania sobie wzajemnie ciosów. Te, co prawda, bolały i powodowały upływ krwi, ale jednak nie były w stanie zwalić przeciwnika z nóg. W sytuacji, którą można opisać starym porzekadłem „złapał Kozak Tatarzyna...", naturalną opcją jest albo uruchomienie nowych narzędzi walki w celu uzyskania wyraźnej przewagi, albo deeskalacja pozwalająca przynajmniej na uporządkowanie szyków.

Samo spotkanie na szczycie, którego jesteśmy właśnie świadkami, pewnie jeszcze niczego w tej kwestii nie przesądzi. Owszem, da obu stronom szansę na uspokojenie bieżących relacji, uzyskanie pełniejszego obrazu stanowiska kontrpartnera i jego zamiarów, ale faktyczne decyzje strategiczne zostaną odłożone na nieco później. Nie ulega jednak wątpliwości, że zaostrzenie konfliktu dwóch najsilniejszych państw świata wcale nie jest jedynym możliwym scenariuszem, ba – prawdopodobnie nie jest nawet wariantem szczególnie pożądanym z punktu widzenia zarówno Waszyngtonu, jak i Pekinu.

Powrót do punktu wyjścia?

Chiny wciąż mają swoje nierozwiązane problemy wewnętrzne, od niezadowalającego tempa wzrostu przez kryzys i bankructwa na rynku nieruchomości, buksujące plany wzmocnienia popytu krajowego, ucieczkę najbardziej intratnych inwestycji zagranicznych na inne rynki azjatyckie aż po niepokojące rozmiary bezrobocia, zwłaszcza wśród młodych ludzi. W tych kwestiach niewiele się poprawiło od kilkunastu miesięcy, a agresywne konfrontacje handlowe z administracją Donalda Trumpa, choć skutecznie kontrowane przez Pekin, jednak dołożyły swoje. Podobnie jak amerykańsko-izraelskie uderzenie na Iran. Co prawda Chińczycy zawczasu zmodyfikowali swój miks energetyczny i zmniejszyli stopień uzależnienia od dostaw ropy i gazu, szczególnie tych z rejonu Zatoki Perskiej, a także zgromadzili porządne zapasy na czarną godzinę, ale to nie znaczy, że bliskowschodnia wojna nie wpływa w ogóle na ich interesy. Do tego mieliśmy tajemnicze przemeblowania wewnętrzne, w tym niedawną czystkę na kluczowych stanowiskach w armii, a to znak, że nie wszyscy z równym entuzjazmem podchodzą do linii „towarzysza cesarza", jak bywa (złośliwie, ale celnie) nazywany Xi Jinping.

Donald Trump też ma poważne kłopoty. Nie tylko w postaci kiepskich notowań wewnętrznych czy patowej sytuacji wokół Iranu. Obiecał przecież na samym początku swej obecnej kadencji, że zmusi Pekin do ustępstw wysokimi cłami – i nic z tego nie wyszło. Miał potem zadławić Chiny energetycznie wojną w zatoce – na razie bardziej stratni są na tej awanturze sojusznicy USA, w tym tak ważni jak sunnickie monarchie arabskie, Japonia czy Tajwan, a także potencjalni partnerzy strategiczni w rodzaju Indii.

Nic więc dziwnego, że ostatnio – mimo buńczucznej retoryki prezydenta – amerykańska dyplomacja bardzo mocno starała się doprowadzić do bezpośredniego spotkania przywódców (planowanego już wcześniej, ale odsuniętego w czasie właśnie z powodu ataku na Iran), wyraźnie licząc, że zdołają oni wypracować konsensus korzystny dla obu stron. Warto przypomnieć, że to wcale nie jest nowa koncepcja. Sporo pisano o niej przy inauguracji tej kadencji Trumpa, wskazując rozliczne zyski, strategiczne i ekonomiczne, płynące z ewentualnego dogadania się supermocarstw. Obie strony wykonywały wtedy ostrożne gesty, które mogły się stać bazą dla takiego porozumienia. Nowy lokator Białego Domu opisywał wówczas Xi jako „dobrego pokerzystę", a Wang Dong, profesor stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Pekińskim (i członek Rady Chińskiego Stowarzyszenia Studiów Amerykańskich, nieformalnego ciała doradczego rządu ChRL), twierdził, że „Trump jest w głębi duszy biznesmenem, nie interesuje go ideologia, zaś kwestie geopolityczne, w tym Tajwan, są dla niego drugorzędne".

Liczni komentatorzy wskazywali wtedy, że do nowej ekipy amerykańskiej dołączają co prawda antychińskie jastrzębie (w tym kontekście wymieniany był głównie Mike Waltz, który jednak po drodze stracił stanowisko doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, a także Marco Rubio), natomiast ich wpływy może równoważyć silna grupa pragmatyków, którym sporadyczne sięganie po ostrą retorykę nigdy nie przeszkadzało w robieniu dobrych biznesów z Państwem Środka. Tu padały nazwiska Davida Perdue (ostatecznie mianowanego ambasadorem USA w Pekinie), Howarda Lutnicka (sekretarza handlu), a przede wszystkim Elona Muska. Ten ostatni ma z Chińczykami nieco sprzecznych interesów, zwłaszcza w wyścigu kosmicznym, ale też przyjmował hojne dotacje dla swojej fabryki Tesli w Szanghaju. To raczej nie przypadek, że po okresie konflik- ▷

eprasa.pl caf54d5d45

tów i chłodniejszych stosunków z Trumpem został jednak zaproszony do udziału w amerykańskiej delegacji udającej się do Pekinu.

Problem asymetrii

– Trump dzisiaj potrzebuje Chin bardziej niż Chiny jego – powiedział parę dni temu Reutersowi Alejandro Reyes, profesor Uniwersytetu w Hongkongu. Dodał, że amerykańskiemu prezydentowi może zależeć głównie na zmianie swego zewnętrznego wizerunku, czyli na zademonstrowaniu, że potrafi działać także na rzecz stabilności i biznesu, a nie tylko zakłócać światową politykę i psuć różnym podmiotom interesy. Czy Trump faktycznie odczuwa taką potrzebę, to rzecz mocno dyskusyjna – lecz nie ulega wątpliwości, że pozycje obu mocarstw są jednak niesymetryczne. Częściowo z powodów ustrojowych, bo Amerykanie mają na karku wybory połówkowe i w przeciwieństwie do ChRL liczą na szybkie i widoczne sukcesy. Z drugiej strony amerykańska gospodarka ma jednak znacznie solidniejsze fundamenty niż chińska, więc na dłuższą metę przewaga USA powinna się utrwalać. Xi nie może grać na czas zupełnie bezkarnie.

W agendzie, którą przed spotkaniem na szczycie ogłosili Amerykanie, kluczowe były dwie kwestie. Po pierwsze – oczekiwanie, że Pekin zdecyduje się wywrzeć nacisk na Teheran, umożliwiając jakąś akceptowalną dla USA formę zakończenia obecnej fazy konfliktu wokół cieśniny Ormuz. To niewykluczone, bo na dłuższą metę tamtejszy pat nie służy nikomu, ale Xi raczej nie będzie się z taką przysługą nadmiernie spieszył. Akurat na Bliskim Wschodzie rozwój sytuacji mu sprzyja. Po drugie – podtrzymanie „zawieszenia broni" w wojnie handlowej. Morderczą amunicję stanowiły w niej trzycyfrowe amerykańskie cła oraz chińskie embargo na eksport pierwiastków ziem rzadkich. W październiku 2025 r. strony zawiesiły ich stosowanie, ale od tamtego momentu Chiny i tak po cichu zwiększają presję na państwa Zachodu. Między innymi uchwaliły przepisy dyskryminujące podmioty zagraniczne, które próbują uniezależniać swe łańcuchy dostaw od ChRL, zaostrzyły reżim licencjonowania obrotu minerałami krytycznymi, uszczelniły własny rynek oprogramowania i technologii AI, a nawet zasugerowały możliwość ograniczenia eksportu sprzętu do pozyskiwania energii słonecznej.

To niestety nie koniec możliwości szkodzenia państwom i społeczeństwom Zachodu – do wykorzystania pozostaje choćby dominacja chińskich dostawców na rynku farmaceutycznym. A tymczasem amerykańskie instrumenty ewentualnego kontrataku są mocno ograniczone, zwłaszcza w kontekście wyroków sądów w USA, które zakwestionowały politykę celną Trumpa. Narzędzia militarne i wywiadowcze, dzięki którym można po kolei likwidować lub przynajmniej demolować chińskich wasali w różnych częściach świata, dają wprawdzie chwilowy efekt medialny, ale bolesna prawda jest taka, że w miejsce „trafionych" Pekin z czasem znajdzie sobie nowych klientów. Nawet Amerykanom zabraknie siły, żeby zbombardować ich wszystkich.

Pekin o tym wie, więc liczni analitycy słusznie spodziewają się, że podczas szczytu może zaoferować Trumpowi możliwość jakiegoś wizerunkowego sukcesu taktycznego (np. uwolnienia niektórych więźniów), lecz każe sobie za to zapłacić bardzo wygórowaną cenę. Spekulowano, że może to być wycofanie lub ograniczenie amerykańskiego wsparcia dyplomatycznego i wojskowego dla Tajwanu. Nadal nie jest jasne, czy amerykańska administracja na serio będzie kiedykolwiek gotowa na taki manewr, ale już to, że w przestrzeni informacyjnej pojawiają się podobne rozważania, ma rujnujące skutki dla wiarygodności strategicznej USA w regionie.

Tajwan lakmusowy

Funkcjonowanie na Tajwanie niezależnej Republiki Chińskiej to dla reżimu Xi Jinpinga cierń w oku. Nie tylko dlatego, że podważa to oficjalną doktrynę „Jednych Chin" i wystawia na szwank autorytet przywódcy, który obiecał rychłe zjednoczenie. Może jeszcze bardziej z powodu promowania przez Tajpej wartości w znacznej mierze sprzecznych z tymi, na których opiera się polityka kontynentalnych Chin, i to zarówno w kwestiach ekonomicznych, jak i obyczajowych czy strategicznych.

Tajwańczycy zabezpieczali się dotychczas przed zakusami Pekinu na dwa sposoby: po pierwsze, konsekwentnie stając się dla reszty świata kluczowym dostawcą nowych generacji czipów, po drugie zaś, zbrojąc się po zęby. Własnym wysiłkiem i poprzez intensywne zakupy u Amerykanów. Jeszcze w grudniu ogłoszono sprzedaż rekordowego pakietu uzbrojenia o wartości ponad 11 mld dol., a równocześnie przygotowano kolejny, wyceniany na 14 mld. Ale gdy Chiny zagroziły sankcjami ekonomicznymi oraz odwołaniem szczytu, Trump postanowił zawiesić tę transakcję. Mimo apeli kierowanych doń przez różne środowiska w USA aż do wylotu na spotkanie z Xi wygłaszał też dosyć enigmatyczne, jednak sygnalizujące dużą otwartość na chińskie żądania komentarze.

Przed rozpoczęciem pekińskiego szczytu oficjele z Tajpej robili dobrą minę do złej gry. Dziękowali Amerykanom za pomoc we wzmacnianiu obronności wyspy i wyrażali wiarę w „niezachwianą kontynuację" tej polityki. Twierdzili też, że finalizacja ostatniej transzy zakupu uzbrojenia jest na dobrej drodze. W tle był jednak niepokój. W tajwańskich mediach pojawiły się analizy wskazujące na małe pole manewru Waszyngtonu, a także na presję wewnętrzną, której podlega republikańska administracja. Według najnowszego sondażu przeprowadzonego przez Chicago Council on Global Affairs już 53 proc. Amerykanów uważa, że Stany Zjednoczone powinny nawiązać przyjazną współpracę z Chinami. W poprzednim badaniu z 2024 r. było to 40 proc. Elektorat nie od dziś jest zmęczony konfliktami zewnętrznymi, coraz silniej obawia się ich negatywnego wpływu na własny dobrobyt i zamiast twardej czy wręcz awanturniczej polityki zagranicznej chętnie nagrodzi kompromisy. Jeśli Xi wykaże wystarczająco dużo sprytu, może uzyskać coś więcej niż tylko korzystny dla ChRL, ale tymczasowy rozejm – trwałe podzielenie świata na strefy wpływów, w porozumieniu i kooperacji z Amerykanami. A w takim scenariuszu Tajwan zostanie zapewne przehandlowany bez mrugnięcia okiem.

Za przygotowanie do takiego rozwoju wydarzeń po stronie tajwańskiej można uznać coraz intensywniejsze zabiegi tamtejszej opozycji, obliczone na dystansowanie się od USA (niedawne zablokowanie w parlamencie zwiększenia budżetu wojskowego) oraz na budowę mostów porozumienia z kontynentalnymi Chinami (vide: niedawna wizyta w Pekinie Cheng Li-wun, nowej liderki Kuomintangu, otwarcie sygnalizującej zainteresowanie „pokojową koegzystencją", a w dalszej perspektywie także stopniowym zjednoczeniem dwóch państw chińskich).

Jak wyprzedzić trendy

Co oczywiste, rozwój sytuacji wokół Tajwanu bardzo czujnie obserwują inni azjatyccy sojusznicy USA. I na wszelki wypadek podejmują działania mające wzmocnić ich własne potencjały oraz zabezpieczyć interesy na wypadek, gdyby amerykański parasol miał się okazać coraz mniej użyteczny lub coraz bardziej kosztowny.

Nie chodzi tu, rzecz jasna, o otwarty zwrot w stronę Pekinu – na to nie pozwoli ani poczucie dumy (czy, jak kto woli, nacjonalistyczne resentymenty), ani tym bardziej twarde interesy strategiczne i ekonomiczne. Przyspieszona rozbudowa własnego potencjału, a także multiplikowanie go poprzez współpracę z innymi podmiotami znajdującymi się w analogicznej sytuacji – to już co innego.

Taki plan ewidentnie wyziera zza całej serii dyplomatycznych przedsięwzięć poprzedzających szczyt amerykańsko-chiński. Oto Australia i Japonia zacieśniły współpracę w zakresie kluczowych minerałów, przeznaczając od ręki na wsparcie tego sektora 1,2 mld dol. i zapowiadając dalsze inwestycje, przede wszystkim w zdolności rafinacyjne i logistykę dostaw. Ta inicjatywa, dotycząca m.in. wykorzystania przebogatych australijskich złóż niklu, kobaltu, galu, magnezu czy fluorytu, niezbędnych dla przemysłu elektronicznego i lotniczego oraz innych branż opartych na zaawansowanych technologiach, może rychło zachwiać chińską dominacją w tym zakresie, ale też poprawić polityczną pozycję przetargową Tokio i Canberry wobec Waszyngtonu.

Szefowa japońskiego rządu Sanae Takaichi odwiedziła także Wietnam, zawierając interesujące porozumienia dotyczące energii i kluczowych minerałów, sztucznej inteligencji, półprzewodników i przestrzeni kosmicznej. W przemówieniu wygłoszonym na Wietnamskim Uniwersytecie Narodowym Takaichi stwierdziła, że „Japonia, ASEAN i cały region Indo-Pacyfiku mogą wspólnie stać się bardziej odporne i zamożne". Zaapelowała o „nowe uporządkowanie" łańcuchów dostaw i współpracy gospodarczej, oferując japońskie wsparcie „ponad dawnymi podziałami politycznymi". Jak się wydaje, ta niezwykle pragmatyczna oferta bardzo odpowiada wietnamskim komunistom, niedawno nawróconym na kapitalizm, ale bardzo nieufnym zarówno wobec swych chińskich odpowiedników, jak i amerykańskiej hegemonii w regionie. Bo to nie tylko miłe słowa: jeszcze w kwietniu Japonia uruchomiła program wsparcia dla „niezależności energetycznej krajów azjatyckich" o wartości ponad 10 mld dol., pomagając też w organizacji dostaw ropy naftowej dla wietnamskiej rafinerii i kompleksu petrochemicznego Nghi Son. Wietnam ma spore złoża krytycznych pierwiastków, lecz cierpi na brak zdolności rafinacyjnych. Zwłaszcza takich, które nie byłyby podatne na szantaże polityczne wielkich mocarstw.

Więcej multilateralizmu

Gdy pani premier czarowała Wietnamczyków i dogadywała się z Australijczykami, jej minister obrony Shinjiro Koizumi finalizował w Dżakarcie umowę o współpracy wojskowej i wywiadowczej z Indonezją. Bardzo kompleksową, bo dotyczącą w znacznej części bezpieczeństwa morskiego, ale uwzględniającą też kwestie przemysłów zbrojeniowych (Japonia akurat zniosła prawny zakaz sprzedaży broni za granicę), prognozowanie i łagodzenie skutków katastrof naturalnych, a nawet wsparcie rozwoju społecznego jako sposobu rozładowania niektórych napięć regionalnych. Także przy tej okazji podkreślono, że korzyści mają dotyczyć całego regionu – zwiększyć jego „stabilność i niezależność od czynników zewnętrznych".

Tego samego dnia, 4 maja, przywódcy Singapuru i Nowej Zelandii podpisali porozumienie o utrzymaniu otwartych łańcuchów dostaw w czasie kryzysu i wyrazili nadzieję, że umowa ta stanie się wzorem dla innych krajów, które chcą tworzyć sieć zaufanych partnerów. Szef singapurskiego gabinetu Lawrence Wong chwalił przy okazji multilateralizm i przypominał o wielkiej roli obu państw w inicjowaniu Transpacyficznego Porozumienia o Wolnym Handlu (znanego dziś jako CPTPP), a miejscowe media apelowały o solidarność wszystkich tych, którzy chcą „kierować się zasadami, a nie tylko brutalną siłą i doraźnym interesem". Aluzja bardzo czytelna.

W trend szukania nowych porozumień, zwiększających pole manewru regionalnych graczy, wpisuje się też aktywność Nowego Delhi (w tym zaawansowane prace nad porozumieniami z Argentyną, Peru i Chile oraz Australią i Japonią, dotyczącymi minerałów krytycznych, plus możliwość powrotu do projektu poszukiwania złóż litu w Mali razem z Rosjanami). A także rozpoczęta właśnie podróż premiera Indii do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a potem do Europy. Narendra Modi zamierza odwiedzić Norwegię, Szwecję, Holandię i Włochy w celu „pogłębienia więzi handlowych i inwestycyjnych". Tematem nr 1 jest oczywiście ropa, ale dobór trasy wyraźnie wskazuje na coś więcej – na zamiar wpisywania się w ewentualne nowe konfiguracje geostrategiczne. Indie, tradycyjnie nieufne zarówno wobec Chin, jak i Stanów Zjednoczonych, mają potencjał, by bardzo wzmocnić takie inicjatywy. Może się więc okazać, że obradujący w Pekinie Donald Trump i Xi Jinping dzielą skórę na niedźwiedziu, który tymczasem ma własne plany. ©℗

Autor jest wykładowcą Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, ekspertem fundacji Po.Int oraz Nowej Konfederacji

eprasa.pl caf54d5d45

Nasza wspólna podróż w przeciwnych kierunkach

Konfiguracja amerykańskiej delegacji sugeruje, że efektem wizyty prezydenta Trumpa w Chinach mogą być pojedyncze kontrakty, a nie kompleksowe porozumienie

Tomasz

Jóźwik

W relacjach z Chinami prezydent Donald Trump deklarował podpisanie wielkiej i historycznej umowy handlowej, przyciągnięcie 1 bln dol. chińskich inwestycji do Stanów Zjednoczonych i szerokie otwarcie chińskiego rynku dla amerykańskich produktów. „Tylko ja i Xi możemy zrobić świetny interes" – napisał Trump w wydanej w 2021 r. książce „Our Journey Together" (Nasza wspólna podróż), podsumowującej jego pierwszą kadencję w Białym Domu. Tymczasem ekonomiczne relacje między USA i Chinami, biorąc pod uwagę poziom wymiany handlowej i wzajemne inwestycje, zostały w ostatnich latach istotnie ograniczone. W tym kontekście często pojawia się termin „decoupling" opisujący rozdzielenie dwóch największych gospodarek. Wydaje się, że spotkanie przywódców w najlepszym razie może przynieść wyhamowanie tego trendu.

Chiny zmniejszyły eksport do USA

Jak wynika z najnowszych danych opublikowanych przez chińską służbę celną, w ciągu 12 miesięcy zakończonych w kwietniu eksport towarów do USA osiągnął wartość 417,3 mld dol. Stany Zjednoczone pozostają najważniejszym pojedynczym rynkiem zbytu dla największego globalnego eksportera, ale ich udział w zagranicznej sprzedaży Chin regularnie spada. Na koniec kwietnia obniżył się do 10,6 proc. wobec niemal 18 proc. pięć lat wcześniej.

Gdy na początku 2020 r. Trump podpisywał z Chinami tzw. Phase One Agreement, przerywające trwającą wówczas wojnę handlową, Pekin zadeklarował m.in., że zwiększy zakupy amerykańskich towarów o 200 mld dol. ponad poziom z 2017 r. Zgodnie z tymi ustaleniami eksport z USA do Chin powinien wzrosnąć do 330 mld dol. Miało to doprowadzić do znaczącej redukcji amerykańskiego deficytu handlowego, który w rekordowym 2018 r. przekroczył 400 mld dol.

Tymczasem w zeszłym roku chiński import z USA miał wartość 106 mld dol. – o ponad 20 mld dol. mniejszą niż w 2017 r. Amerykański deficyt spadł do 200 mld dol. (wg chińskich danych wyniósł 300 mld dol.), co jest najniższą wartością od 20 lat. Jednak nie stało się to w sposób, jakiego oczekiwał Trump. Przesądził o tym spadek chińskiego eksportu do USA.

Z punktu widzenia Pekinu istotne jest to, że mimo spadku sprzedaży w Stanach Zjednoczonych wartość chińskiego eksportu na poziomie zagregowanym regularnie rośnie. W zeszłym roku Chiny zanotowały najwyższą w historii nadwyżkę handlową w wysokości 1,2 bln dol. Połączenie eksportowych osiągnięć z ograniczeniem zależności od amerykańskiego rynku daje Xi Jingpingowi mocną pozycję w rozmowach z Donaldem Trumpem.

Biały Dom stracił kontrolę nad cłami

Wydaje się, że Trump jest w gorszym położeniu także ze względu na wyroki amerykańskich sądów, które ograniczyły swobodę prezydenta w żonglowaniu stawkami celnymi. W lutym Sąd Najwyższy wymazał cła wprowadzone na mocy ustawy IEEPA z 1977 r. Trump częściowo zastąpił je 10-proc. stawką wdrożoną na podstawie Trade Act z 1974 r. Jednak i tę ścieżkę zakwestionował nowojorski sąd federalny specjalizujący się w kwestiach handlowych. Wyrok nie ma jednak uniwersalnego zastosowania, dotyczy jedynie dwóch firm, które wniosły pozew. Na razie zatem 10-proc. cło obowiązuje.

Chiny są głównym beneficjentem orzeczenia Sądu Najwyższego. Po jego wydaniu efektywna stawka celna (przychody z ceł w relacji do wartości eksportu) na chińskie towary spadła z 30–34 proc. do 21–25 proc. W wielu branżach taryfy płacone przez Chiny zostały zrównane z cłami obowiązującymi inne państwa. Mimo tego eksport towarów do USA wciąż spada.

Lewarem, którego może użyć Trump, jest rozpoczęte w marcu postępowanie dotyczące nieuczciwych praktyk, których mają się dopuszczać partnerzy handlowi USA (mają one polegać przede wszystkim na utrzymywaniu nadmiernych mocy produkcyjnych w sektorach przemysłowych). Po jego zakończeniu Donald Trump będzie mógł zastąpić podważone przez Sąd Najwyższy cła nowymi taryfami.

Chińskie samochody u bram USA

Pekin oskarżył USA o próbę powstrzymania rozwoju chińskiego przemysłu. Ograniczenie eksportu do Stanów Zjednoczonych nie oznacza, że Chinom nie zależy na rynku amerykańskim. Ich model gospodarczy jest w dużym stopniu oparty na ekspansji na rynki zagraniczne. Wysiłki, żeby wzrost PKB mocniej bazował na rosnących wydatkach konsumentów, na razie przynoszą umiarkowany skutek. Transformacji modelu nie sprzyja trwający od 2021 r. kryzys na rynku nieruchomości. Przynajmniej w kilku najbliższych latach Chiny będą więc zmuszone polegać na eksporcie.

Jednocześnie zagraniczna ekspansja budzi coraz większy sprzeciw partnerów handlowych zalewanych tanimi towarami z Chin. Na początku roku cła na chińską stal podniosła Brazylia, kraj pozostający w dobrych relacjach z Pekinem. Przeciw nierównomiernym korzyściom ze wzajemnej wymiany handlowej coraz mniej protestuje Unia Europejska, na czele z Francją. W tej sytuacji USA mogą być dla Chin swoistym buforem bezpieczeństwa. Największy globalny rynek zbytu, na który trafia najwięcej importowanych towarów na świecie, wydaje się naturalnym miejscem ekspansji dla największego światowego eksportera.

Według amerykańskich mediów jednym z tematów rozmów prezydentów ma być kwestia dostępu do rynku dla chińskich samochodów. Chiny stały się w ostatnich latach największym eksporterem pod względem liczby aut sprzedawanych za granicą, a BYD zdetronizował Teslę na pozycji największego producenta samochodów elektrycznych. Zdobył już mocną pozycję w Meksyku, a teraz prowadzi ekspansję w Kanadzie. Jednak sprzedaż pojazdów elektrycznych w USA blokuje wprowadzone w 2024 r. przez prezydenta Joego Bidena cło w wysokości 100 proc.

Trump: a może wybudujecie u nas fabrykę?

Podczas wygłoszonego w styczniu przemówienia w Detroit, centrum amerykańskiej motoryzacji, Trump zasygnalizował, że mógłby wpuścić chińskie samochody do USA, zezwalając np. na budowę fabryki na terenie Stanów Zjednoczonych. Równolegle jednak w Kongresie pojawił się popierany przez przedstawicieli obydwu głównych partii projekt ustawy zakazującej wprowadzania na rynek samochodów, części i oprogramowania aut wyprodukowanych w Chinach lub we współpracy z Chinami. W liście skierowanym do sekretarza skarbu Scotta Bessenta 50 republikańskich członków Izby Reprezentantów ostrzegło, że chińskie inwestycje w amerykański łańcuch dostaw samochodów stanowią zagrożenie dla krajowego przemysłu.

Chiny praktycznie nie sprzedają w USA aut, ale dostarczają części i podzespoły do nich. Na przykład najnowszy Ford Mustang GT wyposażony jest w sześciobiegową manualną skrzynię biegów z Chin. Chiński kapitał kontroluje firmę Fuyao dostarczającą szyby czołowym koncernom. Sprzeciw republikańskich kongresmenów przyczynił się pod koniec zeszłego roku do rezygnacji z planów wybudowania fabryki w stanie Michigan przez specjalizującą się w produkcji baterii samochodowych firmę Gotion. Według parlamentarzystów przedsiębiorstwo było powiązane, poprzez swoich założycieli, z Komunistyczną Partią Chin.

Inwestycje pod ścisłą kontrolą

W tej sytuacji wybudowanie fabryki chińskich samochodów na terenie USA wydaje się nierealne. Obydwie strony ściśle kontrolują swoje wzajemne inwestycje i ograniczają ekspansję w kluczowych dziedzinach. Jak wynika z wyliczeń firmy Rhodium Group, doprowadziło to do sytuacji, w której chińskie przedsiębiorstwa w latach 2024–2025 przeznaczyły na ekspansję w USA mniej niż 1 mld dol. rocznie. W rekordowych pod tym względem latach 2016–2017 wartość inwestycji sięgała 40–50 mld dol. rocznie.

Także amerykański kapitał nie zawsze bywa mile widziany w Chinach. Pod koniec kwietnia Pekin zablokował przejęcie przez Metę (dawniej Facebook) firmy Manus działającej w obszarze sztucznej inteligencji. Narodowa Komisja Rozwoju i Reform powołała się na względy bezpieczeństwa narodowego. Transakcja o wartości ok. 2 mld dol. została zakwestionowana po jej faktycznym przeprowadzeniu. Pracownicy Manus zdążyli już dołączyć do zespołu ds. sztucznej inteligencji Mety, a przynajmniej część inwestorów w chińskiej firmie otrzymała zapłatę za swoje udziały. Trudno wskazać powody, dla których polityka kontroli inwestycji prowadzona przez obydwa państwa, uważające się wzajemnie za największych strategicznych rywali, miałaby zostać odwrócona.

Wydaje się, że wszystko, co może przynieść spotkanie Trumpa z Jinpingiem, to przedłużenie w jakiejś formie zawartego we wrześniu 2025 r. w Madrycie, a potwierdzonego miesiąc później na spotkaniu przywódców w koreańskim Busan, rozejmu w wojnie handlowej. USA zgodziły się wówczas obniżyć cła na chińskie towary i umożliwić Chińczykom zakup bardziej zaawansowanych mikroprocesorów produkowanych przez amerykańskie firmy. Z kolei Pekin zawie- ▷

eprasa.pl caf54d5d45

sił na rok wprowadzenie restrykcyjnych zasad eksportu metali ziem rzadkich i zadeklarował zwiększenie zakupów amerykańskiej soi.

Najmniejszy wspólny mianownik

Na utrzymaniu możliwości, by Chiny dostarczały Stanom Zjednoczonym metali ziem rzadkich, a w zamian mogły kupować amerykańskie mikroprocesory, powinno zależeć obu stronom. Wprawdzie Biały Dom robił w ostatnich miesiącach wiele – m.in. podpisując umowy z Australią czy państwami Azji Południowo-Wschodniej – żeby zbudować łańcuchy dostaw metali ziem rzadkich z pominięciem Chin, ale efekty tych działań będą widoczne za wiele lat. Na razie to Pekin kontroluje ok. 90 proc. produkcji kluczowych z punktu widzenia zaawansowanych technologii czy przemysłu obronnego surowców.

Jednocześnie amerykańska Nvidia jest producentem najbardziej wydajnych mikroprocesorów wykorzystywanych w trenowaniu modeli sztucznej inteligencji. Dzięki ich wykorzystaniu USA utrzymują przewagę nad Chinami w uznawanej za strategiczną dziedzinie AI. Nvidia nie może sprzedawać chińskim klientom swoich najmocniejszych chipów, ale porozumienie w Madrycie otworzyło drogę do eksportu do Chin układów H200, które pod względem wydajności plasują się na drugim miejscu. Sprzedaż jest jednak ściśle licencjonowana zarówno przez Waszyngton, jak i przez Pekin, który stawia na rozwój krajowej produkcji, starając się także w tym obszarze zmniejszyć swoją zależność od Stanów Zjednoczonych.

Realia gospodarczego życia przynajmniej częściowo przeczą oficjalnym deklaracjom i decyzjom sugerującym ograniczone zainteresowanie amerykańskimi technologiami. Jak ujawniła agencja Bloomberg, trzech menedżerów amerykańskiej firmy Super Micro Computer (SMC) zostało oskarżonych przez Departament Sprawiedliwości o przemyt do Chin zastrzeżonych technologii. Zbudowane przez SMC serwery, zawierające objęte restrykcjami chipy Nvidii, miały zostać wyeksportowane, poprzez Tajwan, do państw Azji Południowo-Wschodniej. Tam przepakowano je do nieoznakowanych pudeł i wywieziono do Chin. Część sprzętu miała trafić do Alibaby, jednego z chińskich liderów technologicznych. W oświadczeniu przesłanym do amerykańskich mediów firma zaprzeczyła jakimkolwiek związkom z SMC i stwierdziła, że zakazane chipy Nvidii nigdy nie były wykorzystywane w jej centrach danych.

W podróży do Chin Trumpowi towarzyszy kilkunastu menedżerów czołowych korporacji. Amerykańskie media zwracają uwagę, że to powrót do dawno zarzuconego modelu, w którym państwo i wielki biznes wspólnie prowadzą dyplomację ekonomiczną. Konfiguracja delegacji podpowiada też, jakich efektów wizyty można się spodziewać. Będą to raczej pojedyncze umowy, takie jak zakontraktowanie samolotów Boeinga przez chińskie linie lotnicze, a nie kompleksowe porozumienie. ©℗

Świat

Powrót do nuklearnej przeszłości

Wojna w Iranie przysłoniła groźny proces: państwa, które czują się zagrożone przez mocarstwa nuklearne, same zaczynają rozważać zdobycie broni jądrowej. Można to zaobserwować nie tylko na Bliskim Wschodzie, lecz także w Europie

Karolina

Wójcicka

Zrzuciwszy pierwsze bomby na Teheran, administracja Donalda Trumpa przekonywała, że to najlepszy sposób, by uniemożliwić Iranowi pozyskanie broni atomowej. Na początku wojny wtórowało jej wielu przywódców Zachodu. Kanclerz Friedrich Merz mówił wręcz, że Niemcy „podzielają wiele celów" Amerykanów, choć sami nie są w stanie ich osiągnąć.

Zachodnia fiksacja na punkcie irańskiego programu nuklearnego przysłoniła szerszy i groźniejszy proces. – Świat stoi dziś w obliczu ryzyka nowego wyścigu zbrojeń nuklearnych – ostrzegł Rafael Grossi, szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA). Katastroficzny scenariusz, który przedstawił w rozmowie z brytyjskim „Daily Telegraphem", zakłada, że narastające konflikty i destabilizacja mogą doprowadzić do „pęknięcia" systemu nierozprzestrzeniania broni jądrowej. W efekcie nawet 20 państw mogłoby zacząć dążyć do jej pozyskania. Obecnie taki potencjał posiada lub może posiadać dziewięć państw: Rosja, Stany Zjednoczone, Chiny, Francja, Wielka Brytania, Pakistan, Indie, Korea Północna i Izrael.

Efekt domina

Powodów do niepokoju nie brakuje. W ciągu ostatnich pięciu lat Chiny zwiększyły swój arsenał nuklearny z ok. 250 do (prawdopodobnie) 600 głowic. W Japonii i Korei Południowej spo-

Kadr z południowokoreańskiej stacji Yonhapnews pokazujący test nowych pocisków balistycznych Pjongjangu. 4 kwietnia 2024 r.

eprasa.pl caf54d5d45

wodowało to nasilenie debaty na temat własnej broni jądrowej. Oba państwa obawiają się nie tylko rosnącej potęgi Chin, lecz także zdolności Korei Północnej. Mimo paraliżujących sankcji ONZ Kim Dzong Un przyspieszył rozwój programu nuklearnego. Zdaniem komentatorów Pjongjang chce zmniejszyć ryzyko podjęcia przez Amerykanów działań zmierzających do zmiany reżimu.

Gdy państwa czują się zagrożone przez mocarstwa nuklearne, same zaczynają dążyć do zdobycia broni jądrowej – Grossi określa taki mechanizm efektem domina. I właśnie na tym polega jego potencjalnie globalny charakter: gdyby został wprawiony w ruch, łańcuch reakcji mógłby rozlać się na cały świat. Gdyby na przekór Amerykanom Iran zdecydował się rozwijać program jądrowy, podobny krok wkrótce mogłyby rozważyć kolejne państwa regionu. Saudyjski następca tronu Muhammad ibn Salman wielokrotnie deklarował sprzeciw wobec broni atomowej, ale ostrzegał też – m.in. w wywiadzie z 2023 r. – że Rijad będzie dążyć do pozyskania własnej atomówki, jeśli będzie to robić Teheran. Niewykluczone, że w takiej sytuacji do wyścigu dołączyłaby Ankara.

Efekt domina można zaobserwować również w Europie. Rosja prowadzi wojnę przeciwko Ukrainie, od czasu do czasu grożąc użyciem broni nuklearnej, a państwa europejskie – z obawy przed kolejnymi atakami Moskwy – zaczęły debatować nad rozwojem własnych zdolności nuklearnych. Na pierwszy plan wysuwa się zapowiedź Emmanuela Macrona, że Francja po raz pierwszy od dekad rozbuduje swój arsenał atomowy i stworzy nowe ramy współpracy w zakresie „zaawansowanego odstraszania", czyli de facto objęcia państw sojuszniczych, w tym Polski, parasolem nuklearnym.

Inicjatywa zakłada m.in. możliwość udziału sojuszników w ćwiczeniach francuskich sił nuklearnych i wymianę informacji. W razie kryzysu w grę wchodziłoby też rozmieszczenie tych sił na terytorium państw partnerskich. Podczas kwietniowej wizyty Macrona w Gdańsku Donald Tusk poinformował, że w planach jest perspektywa regularnych, szeroko zakrojonych ćwiczeń polsko-francuskich. – Żyjemy w świecie, w którym potrzebujemy zdolności odstraszania nuklearnego – powiedział Tusk, żartobliwie dodając: „Szczerze mówiąc, nie jest moim marzeniem mieć nad Polską Rafale (francuskie myśliwce – red.) z bombami atomowymi".

Ale wielu Polaków oczekuje dalej idących rozwiązań. Jak wynika z badania przeprowadzonego przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych na zlecenie Radia Zet, prawie 51 proc. respondentów uważa, że nasz kraj powinien pozyskać broń jądrową. Przeciwnego zdania jest 38,6 proc. badanych.

Poglądy w tej sprawie wyraźnie układają się wzdłuż podziałów partyjnych. Poparcie dla pozyskania broni nuklearnej jest najwyższe wśród wyborców Konfederacji (79 proc. jest za, 17 proc. przeciw), Prawa i Sprawiedliwości (65 proc. za, a 19 proc. przeciw) i Nowej Lewicy (54 proc. za i 41 proc. przeciw). Odmienną opinię wyrażają głównie zwolennicy Koalicji Obywatelskiej (51 proc. przeciw, a 35 proc. za) i Trzeciej Drogi (56 proc. przeciw, przy 40 proc. za).

Inne kraje jeszcze bardziej marzą o dołączeniu do państw nuklearnych. Według sondażu Research Istanbul pomysł ten popiera 71 proc. Turków. Jeszcze wyższe poparcie odnotowano w Korei Południowej – jak pokazują dane Asan Institute for Policy Studies, za rozwojem własnej broni nuklearnej obecnie opowiada się aż 80 proc. mieszkańców. – Prawdopodobieństwo pojawienia się wielu nowych państw nuklearnych jest dziś znacznie wyższe niż kiedykolwiek wcześniej w moim życiu – mówi Paul van Hooft z think tanku RAND Europe.

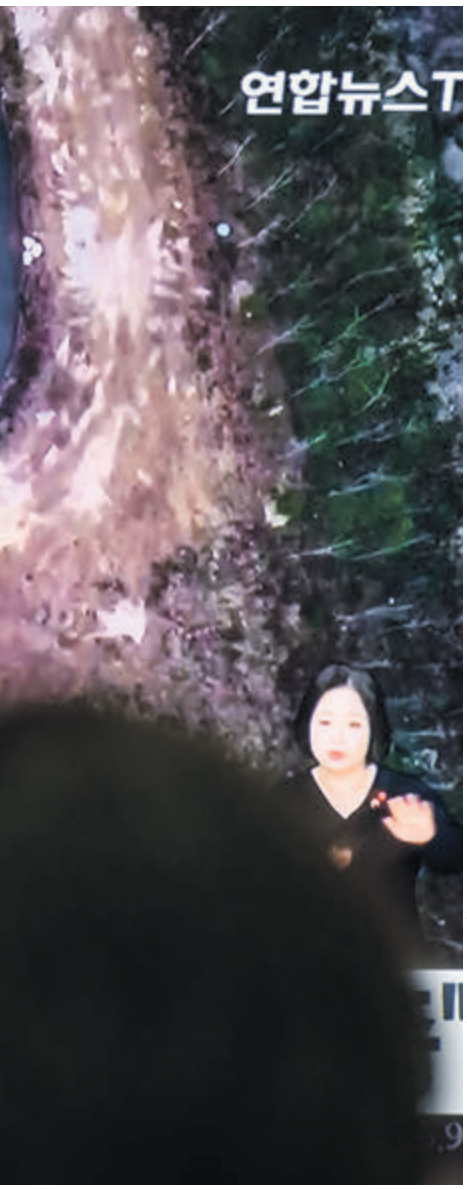

FOT.; KIM JAE-HWAN/ZUMA PRESS/FORUM

Nie ufamy USA

Nie taki świat po zimnej wojnie wyobrażał sobie prezydent Jimmy Carter. To on podpisał z Leonidem Breżniewem układ SALT II ustalający limity ilościowe i jakościowe dla systemów broni strategicznej. – Aby utrzymać pokój, musimy zapobiec niekontrolowanemu i bezsensownemu wyścigowi zbrojeń nuklearnych, który zaszkodziłby bezpieczeństwu wszystkich państw, w tym naszego, a świat coraz bardziej narażałby na ryzyko wojny – przekonywał Kongres w czerwcu 1979 r.

Od tamtego czasu sytuacja na arenie międzynarodowej diametralnie się zmieniła. – Wpływ miało na to wiele nakładających się na siebie zjawisk – mówi van Hooft. Jego zdaniem można wyróżnić trzy kluczowe czynniki. Pierwszy to wzrost gospodarczej i militarnej potęgi Chin oraz związane z tym ambicje nuklearne. Z tym łączy się drugi element: nasilenie rywalizacji geopolitycznej napędzanej przez agresywną Rosję, ale także asertywność Chin. – Trzecim, historycznie bardzo ważnym czynnikiem jest rola Stanów Zjednoczonych – dodaje van Hooft. Jak podkreśla, już w przeszłości, niezależnie od tego, kto mieszkał w Białym Domu, pojawiały się wątpliwości co do zdolności jednoczesnego neutralizowania przez USA różnych zagrożeń. Obecnie ta niepewność jest jeszcze większa. – Padają więc pytania o wiarygodność amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa. Ponieważ nie budzą one pełnego zaufania, w różnych regionach świata rośnie presja, a wraz z nią coraz częściej mówi się o możliwości pozyskania własnej broni nuklearnej – zauważa ekspert.

Pytania o gotowość Stanów Zjednoczonych do pomocy swoim sojusznikom wywołała szczególnie wojna z Iranem. „Choć amerykańska obrona zestrzeliła wiele irańskich pocisków, Waszyngton nie był w stanie całkowicie ochronić partnerów na Bliskim Wschodzie przed atakami odwetowymi" – czytamy w analizie Georgii Cole z Chatham House.

Inna sprawa, że wiarygodność USA jako sojusznika słabnie. Konflikt na Bliskim Wschodzie pokazał, że polityka Waszyngtonu może się szybko zmieniać w zależności od „widzimisię" Donalda Trumpa, który oczekuje od partnerów bezkrytycznego wsparcia. Na własnej skórze przekonał się o tym Merz. Po tym, jak stwierdził, że Trump nie ma strategii wobec Teheranu i „cały amerykański naród jest upokarzany przez irańskich przywódców", prezydent USA ukarał Niemcy, wycofując stamtąd 5 tys. amerykańskich żołnierzy. Podobnymi konsekwencjami zagroził Włochom i Hiszpanii, które odmówiły wsparcia USA w niepopularnej na Starym Kontynencie wojnie.

Niechęć Trumpa do Europy była widoczna już dużo wcześniej. W kampanii wyborczej rzucił, że „zachęcałby" Rosję do ataku na każdego członka NATO, który nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań finansowych wobec Sojuszu. Po objęciu urzędu regularnie podkreślał, że Amerykanie nie chcą grać tam pierwszych skrzypiec. W kwietniowym wywiadzie dla „Financial Timesa" Tusk powątpiewał, czy Stany Zjednoczone lojalnie wypełniłyby swoje zobowiązanie do obrony Europy w przypadku rosyjskiego ataku.

Podobny sceptycyzm panuje w Zatoce Perskiej. Wojna z Iranem wzmocniła tam przekonanie, że Waszyngton priorytetowo traktuje bezpieczeństwo Izraela, a nie swoich arabskich partnerów. Państwa regionu starały się zapobiec eskalacji konfliktu, a mimo to stały się celem irańskich pocisków – również dlatego, że są sprzymierzone ze Stanami Zjednoczonymi. Ataki Teheranu na ich infrastrukturę cywilną uderzyły w wizerunek „bezpiecznych hubów" i osłabiły zaufanie inwestorów.

Brak ograniczeń

Praktycznie wszystkie porozumienia o kontroli zbrojeń z czasów zimnej wojny upadły. New START, ostatni dwustronny traktat o kontroli broni nuklearnej między USA a Rosją, wygasł w lutym i nie zastąpiono go żadną nową umową.

Do erozji tego typu porozumień doprowadził wzrost globalnych napięć od lat 90. i początku lat 2000., określanych jako złoty okres kontroli zbrojeń nuklearnych. „Ponieważ część strategów uznała, że takie układy jak traktat o ograniczeniu systemów antyrakietowych (ABM) czy traktat o likwidacji pocisków średniego zasięgu (INF) są zbyt ograniczające, zarówno USA, jak i Rosja w ciągu ostatnich 20 lat ignorowały, zawieszały, wypowiadały lub naruszały różne porozumienia dotyczące broni nuklearnej i konwencjonalnej" – podkreśla Marion Messmer, ekspertka Chatham House.

Jej zdaniem doświadczenia zimnej wojny pokazują, że umowy o kontroli zbrojeń pomagają tworzyć „strategiczną stabilność" i hamują dynamikę wyścigu zbrojeń. „Bez nich niepewność i brak przejrzystości co do wielkości i struktury arsenałów nuklearnych znacząco zwiększają ryzyko niezamierzonej eskalacji w czasie kryzysu" – zauważa Messmer. Ale widzi też bardziej optymistyczne scenariusze: „Jeśli ryzyka będą dalej narastać, a presja ekonomiczna związana z wyścigiem nuklernym stanie się bardziej odczuwalna, kontrola zbrojeń może znowu stać się atrakcyjnym rozwiązaniem".

Obawy studzi również van Hooft. – Kiedy państwa zaczną na poważnie rozważać zdobycie broni jądrowej, pojawi się cała seria praktycznych problemów – zauważa. I wylicza: konieczne będzie zdobycie uranu, który trzeba następnie wzbogacić. Trzeba mieć wiedzę, jak z takiego materiału skonstruować bombę. – Dobrze byłoby ją jeszcze w jakiś sposób przetestować – dodaje.

Kluczowa jest też skala. – Jedna czy dwie bomby to za mało. Potrzebnych byłoby ich znacznie więcej – inaczej przeciwnik mógłby przeprowadzić atak i je zniszczyć – mówi van Hooft. Do tego dochodzą systemy przenoszenia broni. Nie wszystkie państwa europejskie dysponują odpowiednimi zdolnościami rakietowymi i wyrzutniami – niektóre w ogóle ich nie mają.

Kolejnym elementem jest mechanizm wczesnego ostrzegania satelitarnego, umożliwiający wykrycie ataku. Niezbędny jest też system dowodzenia i kontroli pozwalający prezydentowi, premierowi lub innej osobie decyzyjnej na szybką reakcję i ewentualne przeprowadzenie odwetu. – Trzeba równocześnie rozwiązać wszystkie te kwestie. I to przy założeniu, że europejscy sojusznicy nie będą próbować tego powstrzymać, co mogłoby być trudne – twierdzi van Hooft. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl caf54d5d45

Płacz w Bramie Łez

Gdy świat przygląda się harcom USA w cieśninie Ormuz, nieopodal inny kluczowy szlak transportowy jest bliski zamknięcia. U wylotu Morza Czerwonego odradza się somalijskie piractwo

Mariusz

Janik

Jak mam wytłumaczyć trzylatce, że jej ojciec jest w niewoli i nie może przyjechać do domu? – pyta reportera katarskiej Al-Dżaziry 26-letnia Ajesza, matka trzyletniej Zimal oraz czteromiesięcznego Rahima. 29-letni Amin bin Szams od lat pracował w dokach pakistańskiego Karaczi. Pragnął jednak zaciągnąć się na statek – inne pieniądze, inne warunki. Pod koniec zeszłego roku nadarzyła się okazja: trafił na pokład tankowca MS Honour 25.

21 kwietnia – a może 22, bo do abordażu doszło w nocy – na pokład statku wdarli się somalijscy piraci. Amin zadzwonił o świcie w panice, przekazując żonie informację o porwaniu. Potem były już tylko kontrolowane przez porywaczy połączenia, w końcu zapadła cisza. Podczas ostatniej rozmowy Amin prosił o powiadomienie wszystkich, którzy mogliby naciskać na pakistański rząd, by ten podjął rozmowy z porywaczami. Syn innego marynarza dostał identyczną prośbę. – Ojciec powiedział: „Porwano nas, zgłoś się do firmy, do ludzi, do rządu. Na pokładzie są uzbrojeni piraci". Panikował, ale mówił: „Nie martw się, proś rząd, żeby coś z tym zrobił" – opowiadał Muzammil Ahmed Ansari.

Na razie pakistański MSZ na pytania o losy porwanej załogi lakonicznie odpowiada, iż rozmowy trwają. Nie wiadomo, czy – i jakiej wysokości – miałby być wpłacony okup za statek i załogę. Zakładnicy zostali podobno upchnięci w jednym lub dwóch pomieszczeniach na pokładzie, ale na razie wydają się bezpieczni.

Cokolwiek się dzieje, rodziny porwanych nie dowiedzą się tego od władz. – Najbardziej frustrujące jest to, jak nieczuły, pozbawiony serca jest rząd – pomstuje Ajesza. – Żadnej wiadomości. Absolutnie nic, nawet słowa wsparcia. Wiem, że są zajęci ratowaniem świata przed wojną, ale żeby nie wyciągnąć pomocnej ręki do rodaków w godzinie potrzeby? Przecież nie możemy oczekiwać pomocy od kogokolwiek innego – kwitowała, robiąc aluzję do pakistańskich mediacji w wojnie między Stanami Zjednoczonymi a Iranem.

Złota era Alei Piratów

Tego samego dnia, gdy piraci weszli na pokład MS Honour 25, nieopodal inna grupa porwała kuter rybacki. 23 kwietnia piraci ścigali kolejną jednostkę (której danych nie ujawniono), ale ta prawdopodobnie zdołała im się wymknąć. Za to 26 kwietnia ich łupem padł transportowiec przewożący cement.

Trzy – a właściwie cztery – incydenty na okalających Somalię (i częściowo Jemen) wodach zaalarmowały zajmujących się bezpieczeństwem transportu morskiego ekspertów. „W ujęciu 10-dniowych okresów to najwięcej od czasu apogeum kryzysu piractwa w 2012 r." – napisali analitycy Critical Threats Project, jednostki badawczej think tanku American Enterprise Institute. Europejska The Maritime Security Centre Indian Ocean ogłosiła stan alarmowy, przestrzegając załogi przed pasem wybrzeża o długości 150 mil morskich między Mogadiszu a Raas Xaafuun, najbardziej wysuniętym na wschód krańcem Afryki. Podobnie zrobiła brytyjska UK Maritime Trade Operations (UKMTO), która podniosła stopień zagrożenia do poziomu „znacznego". „Ze względu na zwiększone zagrożenie PAG (Pirate Action Group) jednostkom radzi się dokonywać przejścia z ostrożnością" – lakonicznie sugerują specjaliści z UKMTO.

2 maja ostrzeżenia te potwierdziło kolejne porwanie. Jak doniosła agencja Reuters, na wodach Zatoki Adeńskiej uprowadzono tankowiec MT Eureka. Kidnaperzy zmusili załogę do wzięcia kursu w poprzek Bramy Łez (cieśnina Bab Al-Mandab u wylotu Morza Czerwonego) w stronę somalijskiego wybrzeża i – jak dotąd – niewiele więcej o tym incydencie wiadomo.

Oczywiście to wciąż ledwie cień dawnej potęgi somalijskich piratów. Ich złota era przypadła na lata 2005–2012, kiedy to odnotowywano dziesiątki, nawet setki ataków rocznie – np. w 2011 r. było ich 212. Pirackie komanda zapuszczały się wtedy bardzo daleko od wybrzeży, odnotowany rekord to 2270 mil w głąb Oceanu Indyjskiego. Bank Światowy oszacował w swoim czasie, że w ciągu owych ośmiu lat bezkarności korzyści z pirackiego procederu mogły sięgnąć kwoty od 339 mln do 413 mln dol. z samych tylko okupów, nie wspominając o szabrowaniu przewożonych dóbr.

A to tylko bezpośrednie szkody, bo pośrednie – choćby w postaci kosztów okrężnych tras, omijających somalijskie wody czy Ocean Indyjski, czy cen ubezpieczeń – szły w miliardy. „Na każde 120 mln dol. wartości towarów przejętych przez piratów koszty branży transportu morskiego i końcowego konsumenta sięgają 0,9 do 3,3 mld dol." – szacowali badacze z LSE i Institute for Economic Analysis w raporcie przygotowanym w apogeum kryzysu dla ośrodka International Growth Centre. W owym czasie trasę łączącą Morze Śródziemne przez Kanał Sueski z Morzem Arabskim i dalej – Oceanem Indyjskim – pokonywało co roku 21 tys. jednostek.

Aleja Piratów, jak nazywano wówczas ten szlak, zaczęła odbijać się na kondycji transportu morskiego na tyle mocno, że światowe mocarstwa wyjątkowo zgodnie skierowały na te wody okręty. Do rozpoczętej w 2009 r. NATO-wskiej operacji „Tarcza oceanu" dołączyły m.in. Chiny, Rosja, Indie, Pakistan, RPA. Choć do walnej bitwy z somalijskimi piratami nie doszło, to kampania była na tyle zdecydowana, że od 2012 r. liczba ataków na statki gwałtownie spadła. Na tyle, że w 2016 r. NATO zdecydowało o zakończeniu operacji. I pomimo kilku incydentów aż do 2023 r. można było mówić o sukcesie: rutynowa obecność kilku dużych wojskowych jednostek na Oceanie Indyjskim wydawała się odstraszać Somalijczyków od kidnaperskiego biznesu: w latach 2020–2022 nie doszło do żadnego ataku.

Desperacja rybaka

– Jeżeli ktoś cię nachodzi i rabuje, obowiązkiem jest walczyć. To oni zaczęli. Gdyby nie sięgnęli po naszą własność, to nie stalibyśmy się piratami – tak dwa lata temu tłumaczyli się hersztowie z somalijskiego Puntlandu dziennikarzowi BBC. Rozmówcy reportera w niczym nie przypominali piratów sprzed dekady: tamci afiszowali się z pieniędzmi, terenówkami, kobietami oraz huczną zabawą. Co prawda jeden z naj-

> Somalijczycy i grupy związane z Huti łączą siły. Przekierowanie saudyjskiej ropy z tras wiodących przez cieśninę Ormuz stworzyło dla nich środowisko obfite w cele ataku

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. FARAH ABDI WARSAMEH/AP/EAST NEWS

Okolice Hobyo, lądowej bazy somalijskich piratów

słynniejszych, Abdirahman Bakeyle, kilka lat temu rozdał majątek i został wędrownym kaznodzieją, ale to raczej odosobniony przypadek. Natomiast piraci Anno Domini 2024 wydawali się rozmawiającemu z nimi reporterowi ludźmi, którzy po 2012 r. próbowali utrzymywać się z rybołówstwa.

Pokonanie piratów przez NATO miało bowiem dodatkowy efekt: na somalijskie wody zaczęły się zapuszczać zagraniczne kutry rybackie – z Jemenu, Iranu, Hiszpanii, Chin i innych państw Azji Południowo-Wschodniej. I według Somalijczyków ta rywalizacja kończyła się dla nich źle. Jeden z rozmówców BBC twierdzi, że załoga zagranicznego statku zrabowała mu sieci i przestrzeliła silnik jego kutra. Jak twierdzą miejscowi, ich krewni często giną na morzu – a ich ciała noszą ślady po kulach. Od 2023 r. położone na puntlandzkim wybrzeżu miasteczko Eyl – nazywane też Harunta Burcadda: Stolicą Piratów – ponownie rozkwitło, choć tym razem bez dyskotek, narkotyków i ryczących silników aut.

W 2023 r. doszło do sześciu ataków na statki przepływające w pobliżu somalijskich wybrzeży. W kolejnym roku było ich już ponad 20, a niektóre zakończyły się powodzeniem – jak np. uprowadzenie MV Abdullah, którego właściciel uwolnił jednostkę „po negocjacjach" (czyli, jak się przypuszcza, po wypłaceniu porywaczom okupu w wysokości 5 mln dol.). Pod koniec 2024 r. szacowano, że na wybrzeżu działa ok. 10 kilkunastoosobowych grup, które nauczyły się też znajdować „inwestorów" – biznesmenów, którzy w zamian za udział w potencjalnym zysku z rajdu zgodzą się pokryć koszt zakupu broni, łodzi czy paliwa.

Modus operandi się nie zmienił: strzały w kierunku statku – dziś chętniej z RPG niż karabinów, abordaż, sprowadzenie jednostki w okolice wybrzeża. Harunta Burcadda popularność zawdzięcza m.in. temu, że w okolicach znajduje się źródło słodkiej wody. Różnica sprowadza się do tego, że dzisiejsi piraci są powściągliwi, jeśli chodzi o zabawę. I dyskretniejsi – może dlatego, że miejscowa ludność nie przepadała za pirackimi watażkami sprzed lat i nie życzy sobie powrotu tego procederu. A jednocześnie nikt tak dobrze jak miejscowi nie rozumie motywów rybaków.

Jemeński łącznik

W środowisku ekspertów coraz większą popularność zyskuje teza, że odrodzenie piractwa u wybrzeży Somalii – a zwłaszcza jego gwałtowny wzrost w ostatnich tygodniach – ma związek z wojną, którą Stany Zjednoczone i Izrael toczą z Iranem. Po pierwsze, praktycznie wszystkie jednostki amerykańskiej marynarki, które kręciły się w okolicach Bramy Łez, dziś zostały zgromadzone w okolicach cieśniny Ormuz, czyli po drugiej stronie Półwyspu Arabskiego. Po drugie, porwania – w szczególności uprowadzenie 2 maja MT Eureka – sugerują, że Somalijczycy współpracują z jemeńskimi rebeliantami z plemienia Huti, uchodzącymi za wiernych sojuszników Iranu. – Jest taka możliwość – przyznał jeden z urzędników kierujący formalnie portami w „pirackim" Puntlandzie, w rozmowie z dziennikiem „The New York Times". Kontakty z Huti piraci nawiązali kilkanaście lat temu, bo Jemeńczycy byli doskonałym źródłem taniej broni i urządzeń służących do nawiązywania łączności.

Ze znacznie większą pewnością siebie komentuje te powiązania Ido Shalev z firmy RTCOM Defense, dostarczającej usługi oraz produkty związane z obronnością. – Dochodzi do fundamentalnego przesunięcia środka ciężkości w transporcie morskim – powiedział ekspert Fox News Digital. – Somalijczycy i grupy związane z Huti łączą siły, taka koordynacja nie była widziana od dekady. Przekierowanie saudyjskiej ropy z tras wiodących przez cieśninę Ormuz stworzyło dla nich środowisko obfite w cele ataku – dodaje.

Ta teoria jest bardzo prawdopodobna. Przywódcy jemeńskich rebeliantów byli przez wiele lat protegowanymi Teheranu oraz jego potencjalnym atutem w konfrontacji z Arabią Saudyjską. Ale też na pierwsze bombardowania Iranu i śmierć przywódców Islamskiej Republiki zareagowali wyjątkowo powściągliwie: złożyli kondolencje, wygłosili rutynowe pogróżki, ale żadnych znaczących działań nie podjęli. Eksperci uważają, że w ruchu górę biorą na razie pragmatycy. – Ugrupowanie wciąż podnosi się po ciosach, które zadali mu w ciągu ostatniego roku Amerykanie. Ciosach, które osłabiły jego militarne struktury. Wejście w nową konfrontację niesie oczywiste ryzyka – podsumowywał Farea al-Muslimi, ekspert londyńskiego Chatham House.

Z tego punktu widzenia współpraca z Somalijczykami ma jeszcze więcej sensu: Huti unikają zaangażowania w konflikt, a jednocześnie oddają Teheranowi niemałą przysługę – odcinają najważniejszą alternatywę dla szlaków handlowych wiodących z Zatoki Perskiej w świat. Dotyczy to przede wszystkim saudyjskiej ropy: infrastruktura naftowa królestwa jest na wybrzeżu Zatoki Perskiej, ale alternatywna nitka wiedzie na wybrzeże Morza Czerwonego. Do niedawna nie była nawet w pełni wykorzystywana, ale istniała i zapewne w ciągu kilku lat dałoby się na jej bazie zbudować sieć przesyłu surowców omijającą Zatokę Perską. Ale somalijscy piraci – za sprawą potencjalnych jemeńskich aliantów – odcinają tę ścieżkę, przynajmniej w kierunku Azji. A przy okazji paraliżują szlak handlowy wiodący przez Kanał Sueski.

Cięcie po kablach

O tym, jakie konsekwencje wiążą się z paraliżem tej trasy, przekonaliśmy się dwa lata temu, kiedy to Huti podjęli – w ramach deklarowanej solidarności z Palestyńczykami ze Strefy Gazy – kampanię ataków na przepływające w pobliżu jemeńskich wybrzeży statki. Przeprowadzane za pomocą rakiet i dronów uderzenia w ciągu kilku tygodni skłoniły kilkunastu operatorów do ogłoszenia zmian tras, co znacząco zwiększyło koszty transportu. Trasa wokół Afryki oznaczała też wydłużenie czasu dostawy. Jak podawał Ali Ahmadi, ekspert Geneva Centre for Security Policy, stawki ubezpieczeń – zwykle wynoszące około 0,6 proc. wartości znajdującego się na pokładzie towaru – wzrosły do 2 proc. Im cenniejsze cargo, tym chętniej armatorzy kierowali jednostki na dłuższe – ale i bezpieczniejsze – szlaki.

Fala ataków, która zaczęła się w grudniu 2023 r., w ciągu niewiele ponad miesiąca przyniosła gwałtowny spadek ruchu na tych wodach. Międzynarodowy Fundusz Walutowy 22 stycznia 2024 r. podawał, że średni tygodniowy ruch w Bramie Łez spadł o 46 proc., a poziom przejść przez Kanał Sueski był mniejszy o 37 proc., co szybko i boleśnie uderzyło w finanse Egiptu, dla którego opłaty od przewoźników są liczącym się źródłem dochodów. Jednocześnie ruch na trasie wokół Przylądka Dobrej Nadziei wzrósł o 70 proc.

Inny aspekt konfliktu na wodach Morza Czerwonego to infrastruktura światłowodowa biegnąca jego dnem: według tureckiego dziennika „Sabah" tą trasą biegnie 17 światłowodów, odpowiadających za 90 proc. cyfrowego ruchu między Europą a Azją. Już w lutym 2024 r. doszło do przecięcia kabli; to działanie przypisano Huti, choć nigdy jednoznacznie nie potwierdzono ich odpowiedzialności za ten atak. Kolejny incydent miał prawdopodobnie miejsce we wrześniu ubiegłego roku: o problemach ostrzegły największe globalne korporacje, a pakistańskie władze informowały, że do uszkodzenia kabli doszło na wysokości saudyjskiej Dżuddy, co raczej wykluczałoby udział Hutich.

Przyczyn ubiegłorocznych zakłóceń nie podano, zresztą w przypadku przerwania podmorskich kabli trudno je w każdym przypadku precyzyjnie ustalić. Gdzieniegdzie o kabel może zahaczyć sieć statku, gdzie indziej może dojść do trzęsienia morskiego dna czy przesunięcia zalegających na dnie głazów. Ale to tylko zwiększa atrakcyjność ataku na tę infrastrukturę jako narzędzia wojny hybrydowej. „A to nie byłoby zwykłe wyłączenie internetu, to byłby upadek globalnego systemu nerwowego gospodarki cyfrowej" – kwitował publicysta „Sabah".

Wszystko to oznacza, że Brama Łez może stać się drugim – obok cieśniny Ormuz – frontem konfrontacji Waszyngtonu z Teheranem. Frontem wyjątkowo w ostatnich tygodniach odsłoniętym, trudnym do opanowania zarówno środkami dyplomatycznymi, jak i konwencjonalnym arsenałem militarnym. A bliskowschodnia puszka Pandory ledwie uchyliła wieko. ©℗

eprasa.pl caf54d5d45

Zbigniew Bartuś (moderator), Małgorzata Bojańczyk, Europejska Fundacja Wsparcia Rozwoju Kobiet Na Wsi „Agro Woman", Katarzyna Kucisz-Rosłoń, McDonald's Polska, Katarzyna Jórga,

Kobiety są kluczowe dla przyszłości rolnictwa

Debata „Rola kobiet w rozwoju branży rolno-spożywczej i zapewnieniu bezpieczeństwa żywnościowego" w siedzibie DGP pokazała, że rola pań daleko wykracza poza stereotypy. To właśnie kobiety najczęściej zarządzają finansami gospodarstw, pierwsze wdrażają certyfikację i najchętniej sięgają po innowacje. Podkreślano, że bez wykorzystania ich potencjału polskie rolnictwo nie sprosta wyzwaniom konkurencyjnym, klimatycznym i demograficznym.

Rok 2026 Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) ogłosiła rokiem rolniczek (International Year of the Woman Farmer, IYWF 2026). Na tym tle Małgorzata Bojańczyk, wiceprezes Europejskiej Fundacji Wsparcia Rozwoju Kobiet Na Wsi „Agro Woman", przedstawiła na początku dyskusji wyniki badań przeprowadzonych z Polską Akademią Nauk – Instytutem Rolnictwa i Rozwoju Wsi, przy wsparciu Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa opublikowanych w 2025 r. w raporcie „Kobiety w rolnictwie".

– Bezpieczeństwo żywnościowe nie zaczyna się w Brukseli, tylko w gospodarstwach rolnych – zaznaczyła Małgorzata Bojańczyk.

Kobiety prowadzą lub współprowadzą 30 proc. gospodarstw rolnych w Polsce. 70 proc. rolniczek współdecyduje o inwestycjach, a 20 proc. podejmuje samodzielnie decyzje inwestycyjne. Jednocześnie w połowie gospodarstw prowadzonych przez kobiety to właśnie rolnictwo jest głównym źródłem utrzymania rodziny.

Komisja Europejska po raz pierwszy tak jednoznacznie wpisuje kobiety w rolnictwie w Vision for Agriculture and Food jako warunek odporności i konkurencyjności sektora – nie jako temat społeczny, ale gospodarczy. Jednocześnie, jak wskazuje Komisja w swoich danych, widać wyraźną lukę w reprezentacji i pokoleniową: zaledwie 3 proc. gospodarstw jest prowadzonych przez kobiety przed 40. rokiem życia. Natomiast, jak czytamy w raporcie „Kobiety w rolnictwie", tylko garstka pań zasiada w zarządach izb rolniczych, a 42 proc. badanych rolniczek przyznało, że doświadczyły nierównego traktowania ze względu na płeć – mimo że 57 proc. z nich legitymuje się wyższym wykształceniem, co oznacza większy odsetek niż wśród mężczyzn pracujących w rolnictwie.

W kontekście wyzwań Małgorzata Bojańczyk zwróciła uwagę na znaczenie programów mentoringowych: ich uczestniczki zyskują nie tylko wiedzę, lecz także odwagę w budowaniu kariery zawodowej. Podkreśliła też, że kobiety są szczególnie otwarte na innowacje, co ma istotne znaczenie w kontekście zwiększania konkurencyjności europejskiego rolnictwa wobec producentów z Chin i ze Stanów Zjednoczonych. Jako zagrożenie wskazała natomiast negatywny wizerunek zawodu rolnika kreowany przez media oraz postępujący odpływ ludności z obszarów wiejskich.

W kobietach widzi się największą otwartość do wdrażania zmian w zarządzaniu gospodarstwami: dywersyfikacji działalności, podejmowania trudnych decyzji oraz przechodzenia przez procesy certyfikacji i audytowania, co jest istotne w kontekście bezpieczeństwa żywnościowego.

Stereotypy, a w tle ESG

Katarzyna Jórga, dyrektor ds. programów partnerskich Fundacji Terra Nostra, oceniła, że rola kobiet w sektorze rolnym rośnie, ale wciąż napotyka bariery wynikające ze stereotypów. Wskazała, że choć panie zajmują się w gospodarstwach porządkowaniem dokumentacji, zarządzaniem, finansami, księgowością i marketingiem, rzadko zabierają publicznie głos.

– Wydaje mi się, że rolniczkom wciąż brakuje odwagi, by publicznie mówić o swojej działalności. Zdarzają się kobiety występujące publicznie, ale scena rolna wciąż jest zdominowana przez mężczyzn – zauważyła.

Zwróciła też uwagę na potencjał 18 tys. kół gospodyń wiejskich działających w Polsce, które zostały zaszufladkowane jako organizacje zajmujące się gotowaniem i organizacją festynów, podczas gdy w rzeczywistości mogłyby stanowić istotny motor rozwoju obszarów wiejskich.

W kobietach widzi się największą otwartość do wdrażania zmian w zarządzaniu gospodarstwami: dywersyfikacji działalności, podejmowania trudnych decyzji oraz przechodzenia przez procesy certyfikacji i audytowania, co jest istotne w kontekście bezpieczeństwa żywnościowego. Katarzyna Jórga wskazała na alarmujący problem:

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. BORYS SKRZYNSKI

Fundacja Terra Nostra, Katarzyna Karawaj, Nestlé Polska

FOT. MAT. PRASOWE

Kobiety potrafią świetnie łączyć różne funkcje

Małgorzata Gromadzka

sekretarz stanu,
Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Rola kobiet w rolnictwie, również w branży rolno-spożywczej, jest olbrzymia.

Współprowadząc gospodarstwo rolne z moim mężem, często rozmawialiśmy z sąsiadkami właśnie o tej roli. Oczywiście większość gospodarstw jest zarejestrowanych na mężczyzn, ale to nie pomniejsza decyzyjności pozostającej w rękach kobiet. Z moich obserwacji wynika, że to one są motorem rozwoju i profesjonalizacji gospodarstw, dywersyfikacji produkcji rolnej, powstawania magazynów czy przetwórni. Kobiety prowadzą też rachunkowość gospodarstw, czyli tak naprawdę trzymają budżet. Warto w tym miejscu podkreślić, że zasadniczo wykazują się niezwykłą oszczędnością, skrupulatnością i dużym rozsądkiem w podejmowaniu decyzji.

Kobiety łączą pracę w gospodarstwach rolnych, troskę o rodzinę oraz aktywność społeczną. Znaczenie organizacji pozarządowych, kół gospodyń wiejskich – sama jestem wiceprezeską jednego z nich – a teraz także drużyn pożarniczych – kobiety wzięły tu także sprawy w swoje ręce – jest ogromna.

Panie pełnią też ważne funkcje w sektorze rolno-spożywczym, przypomnę tylko, że na czele Polskiej Izby Mleka stoi Agnieszka Maliszewska, jednocześnie I wiceprzewodnicząca COGECA (Główny Komitet Spółdzielczości Rolniczej, działający na forum europejskim – red.).

Oczywiście ciągle nas jest mało, czy to w samorządach lokalnych, czy na szczeblach rządowych, chcielibyśmy, żeby kobiet aktywnych było jeszcze więcej – do czego panie serdecznie zachęcam. Bo tak naprawdę los nasz, naszego najbliższego otoczenia, naszego państwa, jest w naszych rękach. Kobiety umieją sprostać wielu zadaniom i łączyć różne funkcje, matki, prowadzącej czy współprowadzącej gospodarstwo rolne, urzędniczki, radnej, sołtyski, działaczki społecznej czy wreszcie funkcji na szczeblu rządowym.

Dlatego tak ważne jest, żeby kobiety wspierać, również abyśmy się same wzajemnie wspierały w realizacji idei rozwoju obszarów wiejskich w Polsce. □

jakość gleby w Polsce spada w drastycznym tempie, co bezpośrednio zagraża stabilności produkcji rolnej. Fundacja Terra Nostra opracowała własny Program Zintegrowanej Produkcji Regeneratywnej i właśnie w kobietach widzi największą gotowość do wdrażania koniecznych zmian.

Przedstawicielka fundacji poruszyła też wątek raportowania ESG. Zwróciła uwagę, że polskie rolnictwo jako podstawowy dostawca surowców dla przemysłu spożywczego będzie odpowiadać za 80–90 proc. emisji swoich partnerów biznesowych, którzy podlegają już obowiązkom raportowania ESG. Spełnienie wymogów dotyczących emisyjności, bioróżnorodności i jakości gleby stanie się zatem warunkiem utrzymania kontraktów z dużymi odbiorcami. To kolejny obszar potencjalnego wzmocnienia roli kobiet w rolnictwie.

Regionalny hub żywnościowy

Katarzyna Kucisz-Rosłoń, liderka ds. zrównoważonego rozwoju w zespole McDonald's Polska, przedstawiła perspektywę wiodącego odbiorcy żywności w kraju, którego łańcuch wartości opiera się na 120 lokalnych dostawcach, pośrednio lub bezpośrednio współpracujących z 80 tys. rolników i rolniczek. Sieć dysponuje obecnie ponad 600 restauracjami odwiedzanymi przez 1,2 mln gości dziennie.

Katarzyna Kucisz-Rosłoń opowiedziała o edukacji rolniczej i programach mentoringowych (realizowanych m.in. we współpracy z fundacją Agro Woman), które są efektem pragmatycznej oceny sytuacji: powodzenie sieci jest bezpośrednio powiązane z kondycją gospodarstw, które ją zaopatrują.

– Inwestowanie w odporność całego łańcucha wartości ma krytyczne znaczenie – stwierdziła, wskazując na wyzwania demograficzne, klimatyczne i ekonomiczne jako czynniki ryzyka dla ciągłości dostaw.

Zaznaczyła ona, że polscy dostawcy McDonald's zaopatrują jednocześnie 15 innych rynków europejskich, co czyni z Polski regionalny hub żywnościowy. Firma wraz z dostawcami wdraża systemy oparte na bioróżnorodności i retencji wody, nie narzucając rolnikom konkretnych rozwiązań, lecz weryfikując skuteczność różnych podejść i skalując te, które przynoszą najlepsze efekty. Rolnicy wdrażający praktyki rolnictwa regeneratywnego otrzymują od dostawców McDonald's dodatkowe dopłaty.

– To konkretne wsparcie, które zachęca do wdrażania innowacyjnych rozwiązań – powiedziała Katarzyna Kucisz-Rosłoń.

Cenne doświadczenie

Katarzyna Karawaj, agronomka w Nestlé Polska, połączyła perspektywę zawodową z osobistą: podkreśliła, że doświadczenie matki kształtuje szczególną wrażliwość na jakość i bezpieczeństwo żywności.

– Każda świeżo upieczona mama kształtuje normy żywieniowe swojego dziecka i chce dać mu to, co jest najzdrowsze i najbezpieczniejsze. Ta perspektywa jest bezcenna, bo przekłada się na wymagania wobec całego łańcucha dostaw – mówiła przedstawicielka Nestlé Polska.

Jednocześnie zwróciła uwagę, że kobiety często kierują się w swoich działaniach również względami środowiskowymi i chętniej wdrażają rozwiązania przyjazne naturze, lepiej rozumiejąc złożone zależności ekosystemowe. Ta wrażliwość znajduje bezpośrednie odzwierciedlenie w praktyce rolniczej i decyzjach podejmowanych na poziomie gospodarstw.

Wyjaśniła ona, że w gospodarstwach rolnych to zazwyczaj kobiety odpowiadają za przestrzeganie norm jakościowych, szczególnie istotnych, gdy surowiec jest przeznaczony do produkcji żywności dla dzieci, wymagającej najwyższych standardów. Ich podejście łączy więc troskę o zdrowie konsumentów z dbałością o środowisko naturalne.

Co więcej, znaczenie tych decyzji rośnie w obliczu wyzwań klimatycznych. Coraz wyraźniej widać, że dostępność wody, kondycja gleby czy ekstremalne zjawiska pogodowe wpływają na stabilność produkcji żywności, a kluczowe działania są podejmowane bezpośrednio na poziomie gospodarstwa. Dobrym przykładem jest Wielkopolska, gdzie obserwuje się postępujące pustynnienie gleb związane z deficytem wody i jej niewystarczającą retencją.

Z tej perspektywy Nestlé współpracuje z ponad 250 gospodarstwami w Polsce, wspierając również rozwój rolnictwa regeneratywnego przez dopłaty i szkolenia, które wzmacniają odporność produkcji na te wyzwania.

Katarzyna Karawaj dodała, ok. 60 proc. miejsc pracy, których utrzymanie wspiera Nestlé w Polsce, przypada na sektory produkcji i rolnictwa. Podkreśliła też różnicę między łańcuchem dostaw a łańcuchem wartości: ten drugi zakłada długofalową współpracę i wspólną odpowiedzialność za wyniki, a nie jedynie transakcyjny odbiór towaru.

Strażniczki jakości żywności

Debatę podsumował moderator Zbigniew Bartuś, który zauważył, że rolnicy i rolniczki myślą dziś o swojej działalności bardziej długofalowo niż kiedykolwiek wcześniej. Wskazał on, że patrząc całościowo na sieć wartości w polskim rolnictwie, ma ona wyraźnie kobiecą twarz.

– To kobiety odgrywają rolę strażniczek jakości żywności. Jakości, której nie chcielibyśmy poświęcić na rzecz konkurencyjności – puentował Zbigniew Bartuś.

Michał Perzyński

Debata została zorganizowana pod honorowym patronatem Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi

PARTNERZY DEBATY

TERRA NOSTRA FUNDACJA

Nestlé

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Turcja marzy o Nowym Bliskim Wschodzie

Karol **Wasilewski**

„Spójrzcie, jak zdołała się ukształtować Unia Europejska. Dlaczego nam miałoby się nie udać?" – tak minister spraw zagranicznych Turcji Hakan Fidan, w styczniowym wywiadzie dla Al-Dżaziry, tłumaczył swoje pomysły na Bliski Wschód. Przekonywał, że region potrzebuje własnych rozwiązań dotyczących bezpieczeństwa, które opierałyby się na wzajemnym zaufaniu, a nie odstraszaniu i dominacji.

W kolejnych miesiącach Fidan powtarzał apele wielokrotnie, nasilając je po amerykańsko-izraelskich atakach na Iran. Wtedy Ankara zaczęła prezentować się światu jako dojrzała i odpowiedzialna: konsekwentnie dystansowała się od konfliktu i namawiała do powrotu do dyplomacji; nawoływała także arabskie państwa Zatoki Perskiej, ofiary odwetu Teheranu, aby nie dołączały do wojny. Aby powstrzymać eskalację konfliktu, tureccy politycy podróżowali również po regionie, a sam Fidan uczestniczył m.in. w spotkaniach w Rijadzie (18 marca) oraz Islamabadzie (29 marca).

Jednocześnie Turcy krytykowali irańskie ataki na cele w Zatoce Perskiej, intensywnie komunikując się przy tym z władzami w Teheranie. Te kontakty były szczególnie interesujące po tym, gdy Iran wystrzelił rakiety w kierunku Turcji (zostały zestrzelone przez NATO). Ankara sygnalizowała, że nie nabierze się na zapewnienia irańskiego reżimu, iż nie miał nic wspólnego z atakiem, cierpliwie powtarzając, że nie da się wciągnąć w wojenną zawieruchę.

Patrząc, jak Turcja odgrywa rolę dyplomaty – i to pod taką presją – można popaść w zdumienie. Przecież jeszcze niedawno kraj ten – po wojskowych interwencjach w Syrii i Iraku, po prowokacjach wobec Grecji czy innych państw UE, po umowach z Rosją, które podważały jedność NATO – kojarzył się z awanturnictwem. Skąd ta zmiana?

Filar pierwszy – wizja regionalnej odpowiedzialności

U podstaw wizji Turków leży przekonanie, że Bliski Wschód powinien samodzielnie rozwiązywać problemy, a dopóki tego nie zacznie robić, będzie rozgrywany przez graczy zewnętrznych. Uważają przy tym, że urzeczywistnienie ich wizji służyłoby pogłębieniu integracji ekonomicznej regionu, a to z kolei przyniosłoby korzyści ich państwu, położonemu na styku kontynentów.

Zdaniem Turków wojna w Iranie jest kolejnym przykładem destrukcyjnego wpływu zagranicy na region. Negatywne skutki pierwszej wojny w Zatoce Perskiej (1990–1991) czy rozpoczętej w 2003 r. interwencji w Iraku poskutkowały obawami, że amerykańsko-izraelski atak na Iran przyniesie ograniczone efekty wojskowe i wywoła chaos, z którym będzie musiał zmagać się region. Te reminiscencje były wyraźne w komunikatach tureckich polityków, którzy podkreślali trzy rzeczy: że w drodze tak prowadzonej interwencji nie da się obalić reżimu ajatollahów; że konflikt może się rozszerzyć na region; i że może on doprowadzić do wytworzenia się próżni, na której skorzystają m.in. organizacje terrorystyczne. Dotychczasowy przebieg tej wojny jest dla Turków świadectwem tego, że mają rację.

Dlatego ze zdwojoną siłą przekonują, że jedynym sposobem rozwiązania problemów jest utworzenie regionalnego systemu bezpieczeństwa. Powołują się tu na zasadę „regionalnej odpowiedzialności" i wskazują, że zagęszczenie powiązań pomiędzy lokalnymi graczami – w formie wspólnych instytucji, mechanizmów zarządzania ryzykami czy międzynarodowych sieci – przyczyni się do budowy zaufania między państwami, a także ograniczy ich dążenia do poszukiwania regionalnej dominacji. Powtarzają, że tak długo, jak aktorzy bliskowschodni nie będą w stanie samodzielnie rozwiązywać swoich problemów, będą skazani na ingerencje z zewnątrz.

Jak miałby wyglądać regionalny porządek? Tego Turcy nie precyzują, jakby chcieli wysłać sygnał, że podstawą proponowanej zmiany jest ambitna wizja, a dopiero potem można zabrać się za nudną instytucjonalizację. Jednak robią sporo, by uwiarygodnić swoje stanowisko, prezentując się jako przewidywalny gracz. To m.in. dlatego po 2023 r. Turcja poszukiwała współpracy z Egiptem i Katarem, aby doprowadzić do zakończenia konfliktu w Gazie. Stąd biorą się również wałkowane przez Fidana postulaty utworzenia regionalnej organizacji bezpieczeństwa, pomysł sojuszu z Arabią Saudyjską i Pakistanem, o którym było bardzo głośno na początku roku, czy próby harmonizacji stanowisk państw regionu wobec konfliktu w Iranie.

Filar drugi – Fidanizacja polityki zagranicznej

Hakan Fidan, wieloletni szef wywiadu (2010–2023) i jeden z najbardziej zaufanych ludzi prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana, objął funkcję szefa dyplomacji w 2023 r. Postanowił zresetować politykę zagraniczną na podstawie kilku kluczowych wytycznych. Pierwszą była normalizacja stosunków z partnerami – wszak jeszcze do niedawna, tylko nieco przesadzając, Turcja była skonfliktowana niemal z całym światem. Drugą stanowiło silniejsze sprzężenie dyplomacji z celami ekonomicznymi państwa – aby Turcja mogła wreszcie wygrzebać się z kryzysu gospodarczego. Szybko stało się jasne, że Fidan będzie się wyróżniał na tle poprzedników. Nie jest jak Ahmet Davutoğlu intelektualistą, który miał trudność z łączeniem wizji z rzeczywistością; nie przypomina też Me-

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan za sterami myśliwca Kaan. Ankara, 1 maja 2023 r.

FOT. MEHMET KAMAN/ANADOLU AGENCY VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl caf54d5d45

vlüta Çavuşoğlu, któremu brakowało dyplomatycznej ogłady i imponujących pomysłów.

Jeśli chodzi o Bliski Wschód, skuteczność Fidana najlepiej było widać w stosunkach z Arabią Saudyjską i ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, bardzo ważnymi państwami z punktu widzenia realizacji tureckich wizji. Relacje z nimi były dotychczas fatalne, a ukoronowaniem napięć był nieformalny bojkot gospodarczy Turcji przez Rijad i Abu Zabi. Jednak starania Fidana – połączone z wizytami Erdoğana – przyniosły rezultaty. W marcu 2024 r. Turcja rozpoczęła negocjacje o utworzeniu strefy wolnego handlu z Radą Współpracy Zatoki Perskiej, zrzeszającą Królestwo Saudów, Bahrajn, Katar, Kuwejt, Oman i ZEA. Do Turcji zaczął napływać szerszy strumień arabskich inwestycji, a współpraca objęła także istotne dla przyszłości tureckiej gospodarki sektory: zbrojeniowy i kosmiczny.

Symbolem skali zmiany jest oczekiwanie Ankary, że Rijad zdecyduje się zainwestować w produkcję myśliwca Kaan – a to kluczowy projekt dla dalszego rozwoju tureckiego przemysłu zbrojeniowego. Szybkie zasypywanie niechęci w stosunkach z ZEA i Arabią zrodziło nad Bosforem spory entuzjazm. W lokalnej prasie pojawiły się głosy, że negatywne dla arabskich państw Zatoki skutki ataku USA i Izraela na Iran stworzą dla Turcji szanse na większy udział w regionalnym rynku zbrojeniowym. Prorządowy think tank SETA przedstawił już nawet wykresy, a te przecież – jak powszechnie wiadomo – nie mogą kłamać.

Rozwój branży zbrojeniowej nie jest jednak jedyną szansą, którą dostrzega Ankara. Jeszcze bardziej ambitne wizje dotyczą infrastruktury, transportu oraz energetyki. Turecki komentariat spekuluje, że kryzys w cieśninie Ormuz doprowadzi w dłuższej perspektywie do wzrostu atrakcyjności ropociągów, gazociągów i interkonektorów, które mogłyby wieść przez ten kraj. Co prawda, dotychczas liczne trudności – m.in. koszt, niestabilność polityczna czy dotychczasowe modele biznesowe państw dostarczycieli surowców – powodowały, że realizacja takich projektów była trudna do wyobrażenia. Turcy trzymają jednak kciuki za scenariusz, w którym państwa arabskie Zatoki i inwestorzy międzynarodowi wyciągną z konfliktu w Iranie lekcje sprzyjające uznaniu ważnej pozycji ich państwa, jak również ponownemu przeliczeniu kosztów i korzyści regionalnych inicjatyw gospodarczo-energetycznych.

W ten właśnie sposób pomysły Fidana mają spinać się z rzeczywistością – wizja nowego porządku na Bliskim Wschodzie ma służyć reorganizacji projektów gospodarczych, a na tym wszystkim ma skorzystać Turcja, która stanie się nowym centrum tej części świata. Wieloletni obserwatorzy polityki tego państwa powiedzieliby, że ta wizja ma początek w koncepcji Davutoğlu. Może jednak uda się je „sfidanizować"?

Pax Fidanica wciąż w sferze fantazji

Turecka wizja regionalnej odpowiedzialności zakłada, że USA będą chciały wycofać się z Bliskiego Wschodu. Ankara od lat ze spokojem spogląda na debaty dotyczące tej kwestii – czasem wręcz liczyła na to, że może stać się graczem, na którego Ameryka sceduje odpowiedzialność za sytuację w regionie. Takie nadzieje są w Turcji obecne od ponownego objęcia władzy przez Donalda Trumpa w styczniu 2025 r. Jest to jeden z powodów, dla którego tureckie władze mocno inwestują w normalizację stosunków z Waszyngtonem, a za wojnę z Iranem winią głównie Izrael.

Turcy budują swoje nadzieje na rozmowach ze sprzyjającym im „nadambasadorem" Tomem Barrackiem (ambasadorem USA w Turcji i specjalnym wysłannikiem ds. Syrii) i na dokonanym w kwietniu wycofaniu się Amerykanów z Syrii. Ale kilka czynników rzuca cień na ich pomysły. O ile USA są zainteresowane ograniczeniem wkładu w regionalne bezpieczeństwo, o tyle nadal będą chciały sprzedawać tam własny sprzęt wojskowy. Podważa to ambitne plany Ankary rozwoju współpracy z państwami Zatoki (według lokalnej prasy Waszyngton miał lobbować przeciw saudyjskiemu zaangażowaniu w projekt Kaan).

Problemem jest też skomplikowana regionalna układanka. Próby utrzymania dobrych kontaktów z Iranem – widoczne np. podczas spotkania w Rijadzie, podczas którego Ankara miała naciskać na wyważone stanowisko wobec Teheranu – mogą położyć się cieniem na jej wiarygodności wobec partnerów arabskich. Negatywnie na zaufanie do niej może też wpłynąć akcentowanie prób gospodarczego skorzystania na kryzysie w cieśninie Ormuz i Zatoce Perskiej. Fundamentalną – i obecnie bardzo trudną do przeskoczenia barierą – jest jednak to, że państwa arabskie nie postrzegają Ankary jako lidera, który mógłby ukształtować region na nowo. Raz, że Turcji brakuje do tego potencjału. Dwa, że niezależnie od tego, że Fidan dwoi się i troi, żeby przedstawić swoje koncepcje jako ćwiczenie z kokreacji (wspólnego działania), Bliski Wschód wciąż wydaje się obszarem z takim deficytem zaufania, że nikt tego pomysłu nie kupi.

Jest jeszcze najbardziej niewygodna kwestia. Obecnie niewiele wiadomo na temat tego, jak tureckie wizje odnoszą się do dwóch kluczowych państw Bliskiego Wschodu – Iranu i Izraela. Kłopotliwe jest stanowisko Tel Awiwu, który ma odmienną wizję – postrzega destabilizację regionu jako pożądaną, a Ankarę wraz z jej próbami budowy konsensusu widzi jako zagrożenie. Turcy mogą być zadowoleni z postępów w stosunkach turecko-amerykańskich, ale to Izrael ma dominujący wpływ na Waszyngton.

Nietrudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym Tel Awiw będzie przekonywał, że forsowany przez USA model stabilizacji Bliskiego Wschodu za pośrednictwem Porozumień Abrahamowych z 2020 r., obejmujących normalizację stosunków Izraela z państwami arabskimi, odzyska aktualność po wojnie z Iranem. W tym kontekście narastający w ostatnich latach konflikt izraelsko-turecki nie sprzyja pięknym wizjom „regionalnej odpowiedzialności". Zapowiada raczej kolejną rywalizację, która będzie negatywnie ciążyła na jego bezpieczeństwie, utrudniając budowę wymarzonej przez Fidana „bliskowschodniej UE". ©℗

Autor jest kierownikiem zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej w Ośrodku Studiów Wschodnich

Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

PKB poniżej oczekiwań, ale...

Produkt krajowy brutto w I kw. był o 3,4 proc. wyższy niż rok wcześniej. Dane wypadły gorzej od oczekiwań rynkowych, choć ekonomiści nie mieli złudzeń, że stojący pod znakiem ostrej zimy początek tego roku będzie słabszy od końcówki 2025 r. Na razie struktury wzrostu nie znamy. Nie wiem, ile dołożyła konsumpcja, a ile inwestycje. Jak się okazuje, nie ma w Unii Europejskiej kraju, który wypadłby lepiej niż nasz (bierzemy pod uwagę dane wyrównane sezonowo). Średnie tempo wzrostu w całej UE to 1 proc. Najważniejsza dla nas gospodarka niemiecka urosła raptem o 0,3 proc. w skali roku. ©℗

PKB w I kw.
(zmiana w proc. w porównaniu z analogicznym okresem 2025 r., dane wyrównane sezonowo)

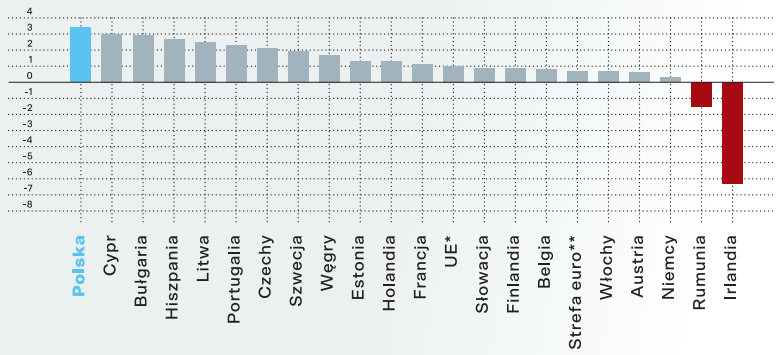

Źródła: Eurostat, GUS * 27 krajów (od 2020 r.) ** 12 krajów (2001–2006) LR ©℗

Płace rosną, choć coraz wolniej

Średnia miesięczna płaca brutto w gospodarce zbliża się do 10 tys. zł, ale tempo wzrostu stopniowo słabnie. Według Głównego Urzędu Statystycznego w I kw. średnia krajowa była o 6,7 proc. wyższa niż rok wcześniej. W ujęciu nominalnym to najniższa dynamika od pięciu lat. Z kolei w ujęciu realnym średnie wynagrodzenie było o nieco ponad 4 proc. wyższe. To tempo niewiele odbiegające od notowanego w ubiegłym roku. Hamowanie dynamiki płac jest po części skutkiem niższego niż w poprzednich latach wzrostu wynagrodzenia minimalnego. ©℗

Średnia płaca w gospodarce

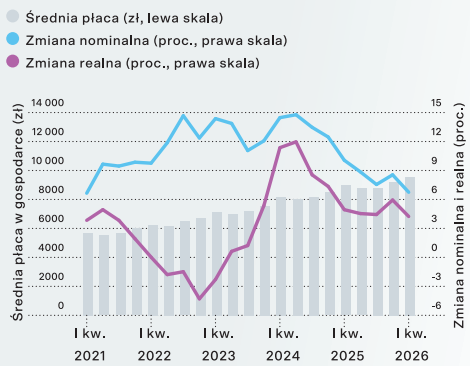

Źródła: GUS, DGP LR ©℗

Wyzwanie dla nowego szefa Fedu

15 maja kończy się kadencja szefa amerykańskiej Rezerwy Federalnej Jerome'a Powella. Zastąpi go Kevin Warsh, który w ostatnich dniach został zaaprobowany przez Kongres. Nowy szef Fedu nie zaczyna pracy w łatwych warunkach. W związku z tym prezydent Donald Trump raczej nie może liczyć na szybkie obniżki stóp procentowych, które sprzyjałyby koniunkturze w największej gospodarce świata (i niższym kosztom finansowania deficytu budżetowego). W kwietniu inflacja konsumencka w USA skoczyła do 3,8 proc. Wzrost cen producentów osiągnął 6 proc. Wszystko to za sprawą szoku paliwowego związanego z wojną w Iranie. ©℗

Roczna zmiana cen w USA
(proc.)

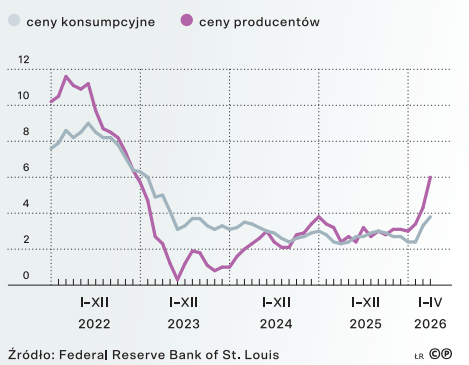

Źródło: Federal Reserve Bank of St. Louis LR ©℗

eprasa.pl caf54d5d45

Gospodarka

Antytechnologiczna fala idzie przez Stany

Zagrożenia stwarzane przez najnowsze modele sztucznej inteligencji skłoniły Biały Dom do zrewidowania podejścia do nowej technologii. Ale zmiana ta ma szerszy kontekst: Amerykanie coraz głośniej protestują przeciwko kosztom rewolucji AI

Emilia

Świętochowska

Przez większość tej kadencji Donalda Trumpa administracja prezentowała lesseferystyczne podejście do rozwoju sztucznej inteligencji. W nagrodę za miliony dolarów na kampanię wyborczą i ceremonię inauguracyjną oligarchowie z Doliny Krzemowej mogli nie tylko działać bez większego nadzoru, lecz także cieszyć się wsparciem potężnego sojusznika w torpedowaniu regulacji zagrażających ich nieskrępowanej ekspansji. Prezydent i jego współpracownicy dali się przekonać, że aby wygrać geopolityczny wyścig z Chinami, trzeba jednocześnie walczyć na dwóch frontach – z jednej strony usuwać bariery w produkcji czipów i budowie nowych centrów danych, z drugiej blokować stanowe ustawy wymagające oceny zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją. – Ułatwimy wam wszystko, jak tylko się da – zapewniał Trump prezesów największych firm AI krótko po zaprzysiężeniu.

Niewykluczone, że polityka nieingerowania w rozwój nowej technologii dobiega końca. Na początku maja „New York Times" poinformował, że w Białym Domu trwają dyskusje nad wprowadzeniem obowiązku testowania dużych, zaawansowanych modeli pod kątem bezpieczeństwa i podatności na nadużycia. Założenie jest takie, że każde takie narzędzie musiałoby uzyskać rządową akceptację przed udostępnieniem go użytkownikom. Kevin Hassett, dyrektor Narodowej Rady Gospodarczej, porównał to do procesu, przez który rutynowo przechodzą leki, zanim zostaną dopuszczone do obrotu.

Jednym z rozważanych rozwiązań jest stworzenie procedury kontroli podobnej do tej, którą stosuje się w Wielkiej Brytanii. Za sprawdzanie odporności systemów AI odpowiadają tam eksperci kilku państwowych instytucji. Przeprowadzane przez nich stress testy pozwalają ocenić m.in., czy modele mogą być wykorzystane do cyberataków, potrafią obchodzić zabezpieczenia, są zdolne samodzielnie podejmować decyzje i czy mają tendencję do manipulowania i ukrywania swoich rzeczywistych intencji przed użytkownikami.

Powrót linii Bidena

Jeśli pomysł zamieni się w prezydenckie rozporządzenie, będzie to de facto oznaczać wskrzeszenie polityki z czasów Joego Bidena, od której jeszcze całkiem niedawno Trump i jego doradcy się odcinali. Z Białego Domu płynęła narracja, że nałożenie ograniczeń na sztuczną inteligencję sparaliżuje jej rozwój i przekreśli szansę na rewolucyjne innowacje w medycynie, przemyśle czy obronności. Czołowi przedstawiciele administracji wytykali Unii Europejskiej, że usiłując okiełznać amerykańskich czempionów surowymi restrykcjami, przy okazji wpędza w stagnację samą siebie. Jej bojaźliwą ostrożność zestawiali z agresywną i otwartą na ryzyko strategią Stanów Zjednoczonych. – Przyszłość sztucznej inteligencji nie zostanie zbudowana na podszytych strachem dywagacjach o bezpieczeństwie – mówił wiceprezydent J.D. Vance na AI Action Summit w Paryżu w lutym 2025 r. – Uważamy, że nadmierne regulowanie sektora AI może zdusić tę przełomową branżę w momencie, gdy dopiero zaczyna nabierać rozpędu – dodał. I namawiał Europejczyków do podchwycenia „deregulacyjnego ducha".

Za czasów Joego Bidena obowiązywało rozporządzenie, które zmuszało twórców dużych modeli AI do przeprowadzania testów ryzyka przed wdrożeniem i dzielenia się ich wynikami z urzędnikami. Mechanizmy te miały pogodzić postęp technologiczny z wymogami bezpieczeństwa narodowego i ochroną praw konsumentów. Wielu inwestorów w Dolinie Krzemowej postrzegało to jednak jako formę scentralizowanego nadzoru, który faworyzuje wielkie korporacje, utrudnia wejście na rynek młodym graczom, a w konsekwencji prowadzi do wyhamowania innowacji. Dlatego, kuszeni obietnicą uwolnienia start-upów od federalnej biurokracji i pozwów sądowych, odwrócili się od demokratów, by przerzucić swoje głosy i portfele na program MAGA.

Po objęciu urzędu Trump szybko rozmontował procedury i standardy odziedziczone po poprzedniku, a kwestie bezpieczeństwa i prywatności ustąpiły biznesowym kalkulacjom i priorytetom geopolitycznym. Obawy, że zamiast wzrostu produktywności i skutecznych terapii antynowotworowych nowe, potężne narzędzia przyniosą społeczeństwom masowe bezrobocie, zalew dezinformacji i algorytmiczny feudalizm, dyskredytowano w Białym Domu jako histeryczne fantazmaty zaczadzone wirusem woke.

Pierwsze ostrzeżenie

David Sacks, współzałożyciel funduszu venture capital Craft Ventures i podcaster, którego prezydent mianował swoim „carem ds. AI i kryptowalut", obwołał autorów defetystycznych scenariuszy „przemysłem straszenia katastrofą" (doomer industrial complex). Głównym celem ataków Sacksa i innych inwestorów z kręgów MAGA stał się Anthropic, który od początku budował wizerunek firmy dużo poważniej traktującej zagrożenia związane ze sztuczną inteligencją niż OpenAI i reszta rywali. Prezes start-upu Dario Amodei wielokrotnie ostrzegał, że zaawansowane systemy mogą nabywać nieprzewidziane zdolności i działać niezgodnie z instrukcjami użytkownika, podkreślając, że nie poświęci bezpieczeństwa, by wygrać wyścig o skalę. Sugerował też wprowadzenie mechanizmów nadzoru na szczeblu federalnym.

Sam Altman i Dario Amodei, AI Impact Summit, New Delhi, 19 lutego 2026 r.

Amodei znalazł się na kursie kolizyjnym z ekipą rządzącą latem ubiegłego roku, gdy sprzeciwił się próbom zablokowania stanowych regulacji AI. W ostatnich dwóch latach ustawy nakładające na twórców dużych modeli obowiązek przeprowadzania oceny ryzyka i wymogi dotyczące przejrzystości przyjęły m.in. Kalifornia, Kolorado i Nowy Jork. Połowa stanów uchwaliła – często z ponadpartyjnym poparciem – przepisy koncentrujące się na ochronie dzieci, zakazie pornograficznych i wyborczych deepfake'ów czy używaniu sztucznej inteligencji w rekrutacji. W kolejnych podobne projekty są przedmiotem prac legislacyjnych. Biały Dom i jego sprzymierzeńcy na Kapitolu zabiegali o zduszenie tych inicjatyw, a gdy ich starania się nie powiodły, zaczęli forsować 10-letnie moratorium na stanowe regulacje AI, tłumacząc, że spowal-

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. LUDOVIC MARIN/AFP/EAST NEWS

niają postęp i utrudniają konkurowanie z Chinami. Amodei stwierdził, że to jeszcze gorsze rozwiązanie niż patchworkowe prawo, i wezwał Kongres do opracowania federalnych standardów transparentności. Sacks w odpowiedzi oskarżył Anthropica o to, że pod pozorem troski o dobrostan cywilizacji chce zaszczepić sztucznej inteligencji „ideologię woke". Jego zdaniem Amodei toczy wyrafinowaną grę: podsyca strach i gorączkę, licząc, że doprowadzi do uchwalania przepisów korzystnych dla swojej firmy. Gdy z powodu oporu od Pensylwanii po Teksas moratorium ugrzęzło w kongresowej zamrażarce, Trump wydał rozporządzenie, którym zawiesił wejście w życie stanowych ustaw.

Konflikt zaostrzył się w lutym 2026 r., a punktem zapalnym stał się opiewający na 200 mln dol. kontrakt na wykorzystywanie Claude'a, modelu Anthropica, przez Pentagon. W trakcie negocjacji Amodei domagał się gwarancji, że Claude nie zostanie użyty do masowej inwigilacji Amerykanów ani w autonomicznych systemach uzbrojenia działających poza kontrolą człowieka. Sekretarz obrony Pete Hegseth odparł mu, że prywatny kontrahent nie będzie dyktować wojsku, jak ma korzystać z technologii na polu walki – podobnie jak producent pocisków nie typuje obiektów do zbombardowania. Gdy Amodei dał do zrozumienia, że się nie ugnie, Hegseth zaklasyfikował Anthropica jako ryzyko dla łańcucha dostaw. Taka etykieta, zarezerwowana dotąd dla zagranicznych przedsiębiorstw uznawanych za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego, w praktyce oznaczała wykluczenie start-upu ze współpracy z agencjami rządowymi. Spółka skierowała sprawę do dwóch sądów, dowodząc, że wpisanie jej na czarną listę to naruszenie wolności słowa i kara za odmowę spełnienia ideologicznych żądań Pentagonu. Na razie wynik jest remisowy: sąd w San Francisco tymczasowo wstrzymał decyzję Hegsetha, orzekając, że urzędnicy nie mogą używać swojej władzy, by dyscyplinować krytyczne wobec siebie firmy; z kolei sąd w Waszyngtonie odrzucił pozew firmy. Pomimo sporu administracja dalej korzysta z Claude'a i nic nie wskazuje na to, by miała z niego zrezygnować.

Rachunek zysków i strat

Paradoksalnie to właśnie Anthropic skłonił Biały Dom do zrewidowania swojej polityki wobec AI. Na początku kwietnia Amodei ujawnił, że najnowsza wersja Claude'a, ochrzczona mianem Mythosa, jest zbyt potężna i niebezpieczna, aby puścić ją wolno w świat. Według doniesień start-upu model umie wykrywać i wykorzystywać luki w niemal każdym systemie operacyjnym, oprogramowaniu i przeglądarce, potrafi samodzielnie łamać zabezpieczenia, manipulować oraz zacierać ślady swojej aktywności. Podobne zdolności ma wykazywać najnowsza odsłona modelu OpenAI GPT-5.5-Cyber, która w tym miesiącu trafi do zaufanych partnerów. Łatwo zrozumieć, dlaczego doniesienia o ich potencjale wywołały panikę w rządach, sektorze finansowym i korporacjach technologicznych. Ich eksperci ścigają się teraz z czasem, by usunąć słabości w systemach i uodpornić je na ataki.

Obecnie dostęp do Mythosa ma jedynie kilkadziesiąt firm i organizacji, m.in. Amazon, Apple, Mozilla, Microsoft i Nvidia, a także wybrane urzędy federalne. Anthropic nie zdradził które, ale według ustaleń portalu Axios w tym wąskim gronie znalazła się National Security Agency (NSA), agencja odpowiedzialna za wywiad elektroniczny. Doszło więc do kuriozalnej sytuacji: administracja z jednej strony wojuje z Anthropikiem w sądach, twierdząc, że jego narzędzia mogą narażać na ryzyko bezpieczeństwo USA, a z drugiej – zabiega o szeroki dostęp do Mythosa, usiłując obejść przeszkodę prawną, którą sama sobie stworzyła.

Na prezydenckim zapleczu pojawiło się przekonanie, że nowej klasy modele są kluczowe do ochrony państwowej infrastruktury, a związane z nimi zagrożenia zbyt poważne, by pozostawić ich wdrażanie wyłącznie w rękach branży. Ponieważ spór z Anthropikiem utrudnia funkcjonowanie agencjom polegającym na jego technologii, w ostatnich tygodniach przedstawiciele administracji zaczęli dążyć do złagodzenia napięć. Pod koniec marca ze stanowiskiem pożegnał się David Sacks, zaś jego rolę przejęli szefowa personelu Białego Domu Susie Wiles i sekretarz handlu Scott Bessent. Pierwsze spotkanie z Amodeim określili jako „produktywne i konstruktywne". W geście dobrej woli prezes spółki zgodził się udostępnić Mythosa wybranym agencjom, aby pomóc im zidentyfikować luki w państwowej infrastrukturze.

Zmiana podejścia ma jednak szerszy kontekst. Stawianie wszystkich kart na AI coraz wyraźniej rozmija się z nastrojami Amerykanów. Slogany o „napędzanej technologią prosperity" i „uwalnianiu amerykańskiej przedsiębiorczości", które Trump i Vance powtarzali za luminarzami Doliny Krzemowej, wywołują dziś podszytą gniewem irytację już nie tylko na lewicy, lecz także w ruchu MAGA. Początkową ekscytację pozorną wszechwiedzą chatbotów przyćmiły narastające obawy dotyczące automatyzacji pracy, szybujących cen energii, przyszłości edukacji czy koncentracji władzy w rękach kilku tech-miliarderów. Marcowy sondaż Quinnipiac University pokazał, że modele językowe budzą zaniepokojenie aż 80 proc. ankietowanych, w tym 89 proc. demokratów i 78 proc. republikanów. Siedmiu na dziesięciu Amerykanów twierdzi, że nowe narzędzia ograniczą możliwości zatrudnienia (rok wcześniej – 56 proc.), a prawie jedna trzecia się niepokoi, że ich umiejętności staną się zbędne. Ponad połowa uważa, że sztuczna inteligencja przyniesie więcej szkód niż pożytku w ich życiu codziennym. Zapewne nie jest przypadkiem, że jedyna grupa, która optymistycznie patrzy na jej wpływ, to osoby najlepiej zarabiające (powyżej 200 tys. dol. rocznie).

Jaskrawą ilustracją toksycznej atmosfery wokół AI są bunty przeciwko budowie centrów danych zasilających technologiczną transformację. Od rolniczych terenów Dakoty Północnej po zamożne przedmieścia Wirginii mieszkańcy szturmują posiedzenia rad miejskich i komisji urbanistycznych, aby zaprotestować przeciwko kosztom infrastrukturalnej ekspansji: galopującym cenom prądu, obciążeniu sieci energetycznych, eksploatacji zasobów wodnych, hałasowi, degradacji gleby. W wielu miejscach antytechnologiczna rebelia doprowadziła do nieoczekiwanych sojuszy między twardymi zwolennikami MAGA a progresywnymi liberałami. Według informacji Data Center Watch w 2025 r. 48 projektów wartych łącznie 156 mld dol. zostało zablokowanych lub wstrzymanych na skutek oporu lokalnych społeczności. Dziesiątki miast i hrabstw uchwaliło tymczasowe zakazy wznoszenia nowych obiektów. W połowie kwietnia Maine jako pierwszy stan w kraju uchwalił 18-miesięczne moratorium, ale stanęło mu na drodze weto gubernator Janet Mills.

Czołowi dostawcy cyfrowej infrastruktury, tzw. hiperskalerzy, zamierzali w tym roku wydać na budowę centrów danych 710 mld dol., lecz sprzeciw mieszkańców może poważnie zakłócić realizację tych planów. Kilka flagowych przedsięwzięć już padło jego ofiarą. Jedną z najdotkliwszych porażek big tech poniósł w Wirginii, która dzięki wieloletniej współpracy z Pentagonem wyrosła na największy w USA poligon IT. W marcu sąd apelacyjny unieważnił decyzję o zmianie przeznaczenia gruntów, która miała umożliwić wzniesienie megakompleksu centrów danych w hrabstwie King George. Sprawa trafi teraz do stanowego Sądu Najwyższego. W ciągu dwóch lat wyborcy z Wirginii radykalnie zmienili nastawienie do takich projektów: jeszcze w 2023 r. ich zwolennicy mieli 45 pkt proc. przewagi nad przeciwnikami, teraz różnica wynosi 24 pkt proc. na korzyść tych drugich.

Antytechnologiczna fala przeniknęła do polityki, porywając populistów z obu stron sceny politycznej w Waszyngtonie. Określający się jako demokratyczny socjalista senator Bernie Sanders podróżuje po kraju, alarmując, że tech-oligarchowie inwestują gigantyczne sumy w AI, by pomnażać majątek i wpływy na likwidacji dziesiątek milionów miejsc pracy. Niedawno wraz z kongresmenką Alexandrią Ocasio-Cortez zgłosili ustawę zakazującą budowy nowych centrów danych do czasu otoczenia odpowiednią ochroną pracowników i środowiska. Z kolei Ron DeStantis, gubernator Florydy i rywal Trumpa w republikańskich prawyborach, zaproponował regulację, która m.in. zawiesiłaby ulgi podatkowe dla operatorów centrów danych oraz przyznała samorządom prawo do wstrzymywania takich projektów.

Być może to właśnie rozlewający się opór spowodował, że prezesi czołowych spółek AI porzucili ostatnio apokaliptyczną retorykę w swoich prognozach dla rynku pracy w dobie robotów. „Myślę, że wiele osób będzie bardziej zajętych (i miejmy nadzieję, że bardziej spełnionych) niż kiedykolwiek, a katastroficzne przepowiednie o masowym bezrobociu w dłuższej perspektywie są najprawdopodobniej błędne" – napisał na X Sam Altman, dyrektor generalny OpenAI. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl caf54d5d45

Kraj

Kumulacja bezradności

Praktyki, których boi się dziś Ziobro, były za jego czasów chlebem powszednim. Od nadużywania tymczasowych aresztów przez kajdanki zespolone po drakońskie przepisy. Sami ukręcili na siebie bicz

Z Tomaszem

Rzymkowskim

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Jak pana przedstawić?

Poseł bez legitymacji partyjnej, w Sejmie w kole Demokracji Bezpośredniej.

To takie dziwne koło prawicowych outsiderów, którzy nigdzie nie pasują.

Trochę tak, ale nikt mi przynajmniej nie może zarzucić, że zmieniam poglądy pod wpływem kierownictwa takiej czy innej partii. Czekam spokojnie na przyszły rok i oferty, jakie pojawią się przed wyborami.

Wrócił pan do Sejmu mimo przegranych wyborów, obejmując mandat po Marcinie Przydaczu, który został ministrem w Kancelarii Prezydenta.

I od razu dostałem ofertę z Prawa i Sprawiedliwości, żeby wejść do ich klubu, skoro startowałem z ich list. Odmówiłem, bo wiedziałem, że lada moment będzie głosowanie w sprawie immunitetu Zbigniewa Ziobry i nie chciałem robić kolegom problemów. Zresztą od grudnia 2023 r. nikt z PiS nie dzwonił, kontakty się urwały, byłoby to wszystko strasznie sztuczne.

Dlaczego sprawa immunitetu Ziobry była dla pana tak ważna?

Po prostu uważam, że zarzuty, jakie stawia mu prokuratura, są w pełni uzasadnione. Ucieczka od Węgier po USA tylko potwierdza to, że coś jest na rzeczy. Nie mówiąc o tym, że tą rejteradą ośmiesza się jako były minister sprawiedliwości i prokurator generalny. Przecież w tym nie ma minimum powagi.

Ludzie Ziobry i on sam mówią, że nie mogą w Polsce liczyć na uczciwy proces.

Szczerze? Zbigniew Ziobro to doskonały przykład historii, w której budujący gilotynę nie wiedzą, że szykują ją dla siebie. Praktyki, których boi się dziś Ziobro, były za jego czasów chlebem powszednim – z sędziami na telefon. Sam zainteresowany przyznał to na jednym z zespołów parlamentarnych. Wyrwało mu się, że za jego czasów byłoby nie do pomyślenia, by nie skonsultować z sędzią kwestii tymczasowego aresztu w sprawie z polityką w tle. Od nadużywania tymczasowych aresztów przez kajdanki zespolone po różne drakońskie przepisy prawa karnego materialnego i formalnego – wszystko to nijak nie pasuje do świata Zachodu. I wszystko to nie przeszkadzało Ziobrze, gdy był ministrem. Gdy słyszę narzekania z dawnej Solidarnej Polski, to śmiech mnie ogarnia. Sami ukręcili na siebie bicz. Inżynierowie, konstruktorzy maszynki do mielenia ludzi.

Przecież pan też był wtedy w rządzie i w klubie.

Możemy wziąć pod lupę kolejne głosowania dotyczące wymiaru sprawiedliwości: albo nie brałem w nich udziału, albo byłem przeciw. Odszedłem nawet z komisji sprawiedliwości.

A kiedy Ziobro w roli komentatora Republiki kpi, nazywając rządzących fujarami, to...

...to niestety ma rację. Nie uważam, że jest archetypem gangstera czy mafiosa, wręcz przeciwnie: to amator. Ale jak ocenić sytuację, w której amator jest w stanie tak kręcić sądami, prokuraturą, służbami i aparatem dyplomatycznym, że ci są bezradni? Słyszę, że ostatnio był w Brukseli w Parlamencie Europejskim, a teraz odnalazł się w Stanach Zjednoczonych. Państwo się ośmieszyło. Abstrahuję tu od tego konkretnego przypadku, ale jak mam się czuć bezpieczny, gdy państwo nie jest w stanie poradzić sobie z dwoma renegatami?

Ale są procedury. Mieli go przywieźć w bagażniku?

Nie róbmy sobie żartów. Jak to jest, że w przypadku innych oskarżonych czy poszukiwanych państwo daje sobie radę, ściągając ich nawet z krajów, z którymi nie mamy umowy ekstradycyjnej? Przecież pytanie o to, czy w sprawie Ziobry i Romanowskiego zrobiono wszystko, jest pytaniem retorycznym. Nie załatwili czerwonej noty Interpolu, nie dogadali się po cichu na poziomie dyplomacji, służby dowiadują się dziś z mediów, gdzie jest Ziobro, a sąd do września czeka z decyzją o areszcie. Taka kumulacja bezradności jest kompromitacją. Ale to także kompromitacja drugiej strony.

To znaczy?

Cokolwiek by mówić, Ziobro to wciąż wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości. Widzę kolegów, którzy na sejmowym korytarzu albo w stołówce od samego początku krzywili się na jego praktyki. Na to, że miał daleko idącą autonomię w rządzie, na to, że Fundusz Sprawiedliwości działał tak, by służyć kampanii wyborczej jego ludzi. To powszechnie znany fakt. Zresztą widział pan, że Jarosław Kaczyński zwracał im uwagę na tę sprawę w słynnym liście, przestrzegając, by nie przeginać z tymi praktykami. Zasiali wiatr, a dziś zbierają burzę, bo historia Ziobry jest kulą u nogi. Jak PiS ma wyjść z ofensywą, gdy codziennie trzeba dzielnie bronić z góry przegranej sprawy? Morawiecki, Dworczyk i Błaszczak mężnie i honorowo się bronią, odpowiadają na zarzuty, chodzą na przesłuchania. A Ziobro uciekł. Dla każdego to historia prosta jak drut i dlatego tak ciąży PiS.

Wie pan, co przeczyta w komentarzach? Że to pana prywatna wendeta za prywatny proces, który ruszył za czasów Ziobry wobec członka pana rodziny.

Bzdury. Proszę na spokojnie i uczciwie prześledzić moje wypowiedzi w sprawie Ziobry. Jeszcze w czasach Pawła Kukiza, w początkach rządów PiS, poszliśmy poinformować prezydenta, że staniemy za nim murem, jeśli zawetuje pomysły Ziobry dotyczące Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego. Chodziło o to, by prokurator generalny miał prawo wpływać na kształt nie tylko SN, lecz także składów orzekających w danych sprawach. To były pomysły z lat 50., głęboki stalinizm, gdy prokurator i sędzia siedzieli przy jednym stole. Wtedy na szczęście było weto.

Zostawmy Ziobrę. Bałagan w wymiarze sprawiedliwości jest o wiele większy. Jako doktor nauk prawnych ma pan pomysł, jak z tego wyjść?

Tak. W ramach Projektu27, w którym Sławomir Mentzen zaproponował mi funkcję lidera w sekcji wymiaru sprawiedliwości, przygotowaliśmy program naprawczy, nazywając go resetem ustawowym. To czteropak projektów, w którym zaczynamy od KRS – chcemy, by to sędziowie wybierali swoich przedstawicieli do rady, a Sejm tylko to zatwierdzał.

Dziś trochę tak jest.

Trochę. I tylko dzięki by-passom, jakie uzgodniono mimo braku rozwiązań ustawowych. Mieliśmy oddolne, pospolite ruszenie, ale kwestię tę trzeba załatwić właśnie ustawą. Idźmy dalej – reset w Sądzie Najwyższym polegałby na wybraniu na nowo całego składu ze względu na klincz, w jakim znaleźliśmy się wobec europejskich trybunałów. Trzeba za wszelką cenę uciec od tego podziału na paleo- i neosędziów. Możemy to przeciąć, wprowadzając jednolity status sędziów sądów powszechnych i sędziów sądów administracyjnych. Ostatnia ustawa dotyczyłaby przepisów przejściowych i określała terminy wygaszenia sporów i składania skarg.

Zaskoczył mnie pan, bo mało jest dziś prawników na prawicy – nie mówiąc o posłach – którzy podchodziliby poważnie do wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Przecież te trybunały są naszymi trybunałami, mamy podpisane konwencje i traktaty. Można się na to zżymać, ale nie udawajmy, że jest inaczej.

Mamy kwestię transkrypcji związków jednopłciowych zawartych za granicą. Co zrobiłby z tym konserwatysta, prawnik i polityk?

Nie chcę zmieniać ani litery w polskim prawie, niemniej Naczelny Sąd Administracyjny stwierdził, że transkrypcja ma być dokonana, czyli uznajemy, że jednopłciowe małżeństwo zostało zawarte za granicą i przyjmujemy ten fakt do wiadomości. To nie oznacza, że skutki cywilne z kodeksu rodzinnego i opiekuńczego muszą nastąpić. Chodzi tylko o to, że uznajemy, iż w świetle obcego prawa dana para mężczyzn czy kobiet jest małżeństwem. Nikt nie każe nam tego implementować do polskiego prawa.

„Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się stało z tobą, żołnierzu?"

(śmiech) Uważam tę decyzję europejskich trybunałów za negatywny krok w kierunku zmiany podejścia do instytucji małżeństwa, ale o wiele większy wpływ mają media, filmy czy wyjazdy za granicę. Większość Polek i Polaków nie jest gotowa na rewolucję obyczajową. Jako prawnik uważam, że małżeństwa jednopłciowe są nie

eprasa.pl caf54d5d45

do pogodzenia z Konstytucją RP, która zakłada, że małżeństwo jako związek mężczyzny i kobiety znajduje się pod szczególną opieką państwa. Ale nie kruszyłbym kopii o to, że związek zawarty w Niemczech czy Holandii jest na ich gruncie prawnym małżeństwem. W ramach porządku międzynarodowego mamy szereg umów bilateralnych o wzajemnym uznawaniu świadczeń itd. Sytuacja, w której dwóch panów zawiera związek małżeński w Holandii, a potem przeprowadza się do Polski, otwiera furtkę do zagwarantowania mu praw, jakie przysługują mu w Holandii. Nie ma co rwać włosów z głowy, tym bardziej że słyszę ze strony rządu, iż obejdzie się bez rozwiązań automatycznych: do transkrypcji dojdzie tylko w określonym reżimie prawnym i tylko po wystąpieniu do sądu.

Karol Nawrocki próbuje wskrzesić pomysł na nową ustawę zasadniczą, rozważając „za" i „przeciw" systemu prezydenckiego i kanclerskiego. Dziś to nierealne. A w przyszłości?

Praktyka ustrojowa od 1997 r. pokazuje liczne mankamenty naszej konstytucji. Nieprecyzyjne przepisy, dublowanie kompetencji, spory między rządem a prezydentem, anachronizmy takie jak publikowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego przez premiera. Można wyliczać dalej. Zasadnicze pytanie to, jaki model ustrojowy wybieramy. Silny prezydent czy silny rząd? Nie widzę szans na konstytucyjną rewolucję, ale na ewolucję ustroju – tak.

Lubi pan włożyć kij w mrowisko. Jak napisał pan na X o kandydacie na I prezesa Sądu Najwyższego, to obecna prezes aż musiała wydać oświadczenie. Rzadko spotykane.

Uprzejmie apelowałem do pana prezydenta, na którego głosowałem, by nie brał pod uwagę dwóch kandydatów: jednego na I prezesa SN i drugiego na prezesa Izby Karnej SN. Jeden z sędziów ma na swoim koncie haniebny wyrok w sprawie Lecha Wałęsy. Wbrew świadkom i dokumentom uznał, że oświadczenie lustracyjne byłego prezydenta jest w porządku i nie ma podstaw, by mówić, że jako TW „Bolek" współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa. Z czasem, trochę zamiast sądu, tę pracę wykonali prof. Cenckiewicz i dr Gontarczyk w swojej słynnej książce. Zresztą pan sędzia Zbigniew Kapiński ma też na koncie uniewinnienie niektórych członków junty wojskowej Jaruzelskiego. I kogoś takiego postanowiła bronić i jednoznacznie wspierać prof. Małgorzata Manowska. To zachowanie bez precedensu. Samo oświadczenie I prezes SN jest o tyle zaskakujące, że wydane podczas urlopu. Złośliwi mówią, że kto inny je pisał, ale ja nie wierzę. Kandydat na prezesa Izby Karnej SN Igor Zgoliński to z kolei były działacz SLD, a sędziów angażujących się w politykę nie potrzebujemy na najwyższych stanowiskach. Prezydent Karol Nawrocki zapowiedział, że sędziowie angażujący się w kwestionowanie ładu prawnego nie mogą liczyć na awans, dlatego przypominam, że sędzia Igor Zgoliński podpisał apel o likwidację Izby Dyscyplinarnej. Ja mam wątpliwość, czy jest to sędzia SN, gdyż podczas podejmowania uchwały w jego sprawie KRS obradowała w nieprawidłowym składzie, tj. bez udziału parlamentarzystów. Pisałem o tym w interpelacji do ministra sprawiedliwości, jeszcze zanim Igor Zgoliński został wskazany jako kandydat na prezesa izby.

Mówi pan, że nie potrzebujemy sędziów angażujących się w politykę, ale przykłady SN czy TK – i to rządów PiS – pokazały, że to naturalne wybory.

I w końcu trzeba z tym raz na zawsze skończyć. Inaczej będziemy się z tym problemem bujać w nieskończoność. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tomasz
Rzymkowski
poseł, prawnik, były wiceminister edukacji i nauki w rządzie Prawa i Sprawiedliwości

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Wojna domowa o kryptowaluty

Daria **Al Shehabi**

Po aferze ZondaCrypto kryptowaluty przestały być niszowym tematem dla branży. Stały się testem sprawczości państwa, ale też testem politycznego instynktu. Sama regulacja jest teraz narzędziem w rozgrywce o to, kto będzie mógł powiedzieć, że naprawił państwo, a kto zostanie zapamiętany jako ten, który w tym procesie przeszkadzał.

Na stole było kilka projektów ustaw – rządowy, prezydencki, Polski 2050, Konfederacji i PiS. Koalicja po raz trzeci postawiła na w zasadzie ten sam projekt rządowy, do którego wprowadzono tylko jedną prezydencką poprawkę. Jak ujął to jeden z posłów Polski 2050, „rząd poczuł krew, bo wokół kryptowalut trwa polityczna wojna domowa".

Oznacza to, że ryzyko trzeciego weta pozostaje realne. Dla rządu nie musi być to wyłącznie problem. Donald Tusk widzi, że prezydent na całej historii więcej traci, niż zyskuje, i jeśli teraz zaakceptuje ustawę, to trudno mu będzie wytłumaczyć sens wcześniejszych zastrzeżeń. Jeśli natomiast znów ją zawetuje, to koalicja dostanie do ręki mocny argument – mimo afery ZondaCrypto pałac blokuje większą ochronę obywateli. Prezydent potrzebował więc własnego projektu, by wyjść z tej sytuacji z twarzą. Rząd nie chce mu tego ułatwiać.

W sondażu SW Research dla DGP 40,8 proc. badanych wskazało jako odpowiedzialnych za aferę samych właścicieli ZondaCrypto, ale 27,6 proc. wskazało prezydenta i jego otoczenie, wiążąc to z wetowaniem ustaw regulujących rynek kryptowalut. 26,4 proc. obarczyło odpowiedzialnością PiS, bo w czasie rządów prawicy nie wprowadzono regulacji. To pokazuje, że narracja o prezydenckich wetach i zaniechaniach PiS zaczęła się przebijać poza sejmowe korytarze.

Dlatego wybór projektu rządowego ma znaczenie większe niż legislacyjne. Koalicja mogła sięgnąć po łagodniejszą ścieżkę – projekt Polski 2050. Propozycja miała być rozwiązaniem kompromisowym – zawierała mniej punktów trudnych do zaakceptowania dla głowy państwa i mogła realnie ograniczyć ryzyko kolejnego weta. Tyle że wtedy pałac mógłby powiedzieć, że jego zastrzeżenia zostały uwzględnione. Rząd straciłby ostrość przekazu, że to on porządkuje rynek, co wcześniej blokował prezydent. Koalicja idzie więc w zaparte nie tylko po to, by uchwalić te, a nie inne przepisy, lecz także po to, by nie oddać pałacowi opowieści o rozwiązaniu problemu.

Pałac próbuje wyjść z defensywy na dwa sposoby. Pierwszy to zmiana agendy. Najpierw na pierwszy plan wrócił aneks do raportu z likwidacji WSI – temat dla prawicy wygodny, historyczny, emocjonalny i uruchamiający opowieść o służbach, układach oraz nierozliczonej III RP. Potem pojawiła się nowa konstytucja, czyli jeszcze większy format polityczny, pozwalający mówić o ustroju państwa. Oba tematy przesuwały uwagę z kłopotliwych decyzji o wecie na bezpieczniejszy dla prawicy grunt wielkich symboli. Drugi sposób to własny projekt ustawy o kryptoaktywach, na który Sejm i rynek czekali miesiącami. Przyjęcie rozwiązań firmowanych przez prezydenta pozwoliłoby mu przepisać historię wcześniejszych wet: z opowieści o blokowaniu regulacji na narrację o konsekwentnej walce o lepszą ustawę. Problem w tym, że rząd nie zamierza na to pozwolić. Skoro projekt prezydencki jest w dużej mierze zbieżny z rządowym, koalicja będzie pytać, dlaczego podobnych przepisów nie można było przyjąć wcześniej.

W tle widać jeszcze jedno napięcie. Według naszych rozmówców ani publikacja aneksu do raportu z likwidacji WSI, ani rozpoczęcie prac nad nową konstytucją nie były konsultowane z Nowogrodzką. Oficjalnie PiS i prezydent wspierają się w walce z rządem. Nieoficjalnie ich relacje są bardziej skomplikowane. Pałac próbuje pokazać, że to prezydent nadaje ton po prawej stronie. Nowogrodzka nie zamierza mu tej roli oddawać. Spór o kryptowaluty stał się więc nie tylko starciem rządu z prezydentem, lecz także elementem cichej rywalizacji o hegemonię na prawicy.

W tym kontekście trzeba czytać najbardziej zaskakujący ruch PiS. Po miesiącach obrony prezydenckich wet partia Jarosława Kaczyńskiego zgłosiła własny projekt ustawy. Nie kompromisowy, nie techniczny i nieuzgadniany jako wspólna odpowiedź prawicy. Za to najdalej idący, bo PiS proponuje całkowity zakaz kryptowalut w Polsce. Tego projektu nie należy jednak traktować jako przesądzonej ścieżki legislacyjnej. Także w PiS słychać, że może zostać zmieniony, złagodzony albo stać się elementem politycznej gry. Według naszych źródeł pomysł wyszedł od Jarosława Kaczyńskiego. Część posłów miała podpisywać projekt in blanco, zanim poznała jego szczegóły. Zwrot był gwałtowny: od obrony prezydenckich wet i argumentów o nadmiernej regulacji do propozycji uderzającej w samą legalność rynku. Z naszych rozmów wynika, że z Pałacu Prezydenckiego miały płynąć nieoficjalne próby wpłynięcia na zmianę tej decyzji. To pokazuje, że prawica nie pisze dziś jednej partytury, nawet jeśli publicznie próbuje śpiewać jednym głosem. Oba środowiska mają jednak ten sam cel: nie pozwolić, by po aferze ZondaCrypto to rząd był jedynym autorem rozwiązania.

Projekt PiS można więc czytać jako próbę zmiany osi sporu. Nie „kto zawalił regulacje?", lecz „czy kryptowaluty powinny być w Polsce legalne?". Nie „dlaczego broniliście wet?", tylko „kto ma odwagę przeciąć problem radykalnie?". Taki manewr pozwala wrócić do ofensywy, nawet jeśli sama propozycja okaże się tylko etapem w politycznej licytacji. Odsłania jednak nerwowość na prawicy, która nie uchodzi uwagi strony rządowej, która skrzętnie wykorzystuje każde potknięcie PiS i prezydenta.

W efekcie na pytanie, komu dziś zależy na regulacji rynku kryptowalut, nie ma prostej odpowiedzi. Rządowi zależy, bo może pokazać się jako strona odpowiedzialna i jednocześnie nie dopuścić, by prezydent wyszedł z tej historii z własnym sukcesem. Prezydentowi zależy, ale pod warunkiem że regulacja będzie jego, a nie rządowa. PiS zależy już nie tyle na klasycznym uporządkowaniu rynku, ile na zmianie kierunku debaty i przypomnieniu, że ostatnie słowo po prawej stronie nadal chce mieć Jarosław Kaczyński. ©℗

eprasa.pl caf54d5d45

Idee

Szkoła anachroniczna, szkoda publiczna

Obecny model szkoły coraz wyraźniej rozmija się z potrzebami dzieci, neurobiologią ich dojrzewania i kompetencjami wymaganymi przez współczesny świat. Kolejne reformy tego nie zmieniają

Sebastian

Stodolak

To musi być smartfon, prawda? To on ma być winny rosnącej liczby osamotnionych dzieci z samobójczymi tendencjami. Zakażmy go, przynajmniej w szkole. Ten trend na całym świecie przybiera na sile. Ma to poprawić samopoczucie uczniów, ich wyniki w nauce i zachowanie. Tylko że opublikowana w kwietniu praca „The Effects of School Phone Bans: National Evidence from Lockable Pouches" badająca skutki takich zakazów w USA wskazuje, że przez pierwszy rok samopoczucie spada, a zachowanie się pogarsza. Skutek ten staje się delikatnie pozytywny dopiero w kolejnych latach. Wpływ na wyniki testów jest bliski zeru, a dowodów na to, by zakaz ograniczał prześladowanie czy zwiększał frekwencję na zajęciach, nie znaleziono.

„Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce prowadzić szkołę w ten sposób [bez smartfonów], ale nie należy oczekiwać znaczących postępów w nauce. Dowodów na to jest coraz więcej, ale wielu nie umie tego zaakceptować. W każdym razie nie jest to sprawa warta wielkiej moralnej krucjaty" – komentuje na swoim blogu ekonomista Tyler Cowen.

Jest jednak inna sprawa wymagająca wielkiej moralnej krucjaty: szkoła jako taka. W obecnej formie to ona staje się szkodliwa.

Wielka luka

Ja sam reformę edukacji zacząłbym od zniesienia przymusu szkolnego, ale na to się nie zanosi. Taki postulat wielu uzna za szalony. W porządku. Skoro zatem nasze dzieci do szkoły wysyłać musimy pod groźbą grzywny, a nawet odebrania prawa do opieki nad nimi, warto zadać sobie pytanie, jak szkoła na te nasze dzieci wpływa.

Oczekujemy od niej przede wszystkim, że jej wychowanek nabędzie z jednej strony konkretną, przydatną w jego przyszłym zawodowym życiu wiedzę, a z drugiej świadomość cywilizacyjną, co – w połączeniu ze zdolnością do krytycznego myślenia – pozwoli mu na bycie twórczym. Mamy nadzieję, że to pomoże mu także odnaleźć miejsce w świecie i nada sens egzystencji.

Gdybyśmy tego nie oczekiwali, szkoła pełniłaby wyłącznie funkcję opieki zastępczej na czas, gdy my pracujemy. Nawiasem mówiąc, warto sobie uświadomić, że ona dziś naprawdę taką funkcję pełni, co – historycznie rzecz biorąc – stanowi novum. W przypadających na XIX w. początkach powszechnego systemu oświaty szkoła pozbawiała rodziny taniej siły roboczej, jaką były dzieci. Dlatego musiała być bardziej elastyczna. Zajęcia odbywały się nieregularnie. W okresach siewów czy wykopków klasy pustoszały albo szkoły robiły specjalne przerwy.

Niestety, zderzenie naszych oczekiwań wobec szkoły z rzeczywistością przynosi głębokie rozczarowanie. Przede wszystkim przekazywana w niej wiedza jest coraz mniej przydatna na rynku pracy, na co wskazuje utrzymująca się wysoka luka kompetencyjna, czyli rozbieżność między potrzebami rynku pracy a umiejętnościami kandydatów do zatrudnienia. Według raportów ManPower Group na trudność z obsadzaniem stanowisk wskazuje obecnie ok. 57 proc. polskich pracodawców. Do 2016 r. odsetek ten mieścił się w przedziale 33–45 proc. Ktoś może powiedzieć, że brak odpowiednich kompetencji to raczej kwestia dysfunkcji uczelni wyższych, a nie podstawówek czy szkół średnich, ale wiele deficytowych kompetencji nie wymaga wyższych studiów – można przekazać je w szkołach branżowych (dawne zawodówki) czy w technikach. Przede wszystkim jednak szkoły nie dostarczają we właściwy sposób intelektualnego podglebia, które umożliwia szybkie nabycie bądź dostosowanie swoich umiejętności do realiów. W raporcie „Future of Jobs Report 2025" przygotowanym przez World Economic Forum na bazie rozmów z przedstawicielami ponad 1 tys. firm z 55 państw świata szacuje się, że aż 39 proc. kluczowych na rynku pracy umiejętności ulegnie zmianie do 2030 r. Jak wskazano, obecnie coraz bardziej ceni się kompetencje pracy z AI, Big Data czy przy wdrożeniach technologicznych, ale też takie cechy jak myślenie kreatywne, odporność, ciekawość i uczenie się przez całe życie, umiejętności przywódcze i myślenie analityczne – a to dokładnie te kompetencje, które szkoła raczej systematycznie osłabia niż rozwija. Bo szkoła – nawet jeśli wykorzystuje się w niej laptopy i interaktywne tablice – strukturalnie wciąż niewiele się różni od tej, która kształciła siłę roboczą dla gospodarki, w której liczyło się przede wszystkim zdyscyplinowanie przy taśmie produkcyjnej. Nowe technologie to bowiem nie tylko nowe przydatne narzędzia. To także zmiana w naszym sposobie myślenia i funkcjonowania, a szkoła, nie absorbując tej zmiany, okazuje się nie tylko niewygodnym anachronizmem, który po prostu trzeba przetrwać, lecz także instytucją w coraz większym stopniu ograniczającą potencjał naszych dzieci.

Ucieczka od przyszłości

Szkodliwość szkoły rośnie i są na to dowody empiryczne. Badań wskazujących na to jest wiele. Na przykład w przygotowanym na podstawie danych z USA raporcie „The Creativity Crisis: The Decrease in Creative Thinking Scores on the Torrance Tests of Creative Thinking" z 2011 r. Kyung Hee Kim przeanalizowała wyniki testów twórczego myślenia Torrance'a przeprowadzonych na ogromnej próbie 273 tys. osób w latach 1966–2008. Okazało się, że od lat 90. wskaźniki twórczego myślenia zaczęły spadać, mimo że wyniki IQ rosły. Można – i współczesna szkoła robi to, jak widać, nieźle – coraz skuteczniej trenować dzieci do rozwiązywania testów, ale równocześnie coraz mniej skutecznie rozwijać w nich oryginalność, wyobraźnię, zdolność wychodzenia poza schemat i tolerancję dla nieoczywistych rozwiązań. Wyjaśnieniem, które autorka uznaje za istotne, jest testocentryczny charakter edukacji i napięcie między pogonią za wynikami a rzeczywistym uczeniem się.

Ten problem dotyczy nie tylko szkół amerykańskich czy azjatyckich, lecz także polskich. Spójrzmy na to, jak skonstruowany jest najważniejszy egzamin w kraju – matura. Wystarczy krótka analiza arkuszy egzaminacyjnych w Formule 2023 (aktualnie obowiązu-

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. MALTE MUELLER/FSTOP/GETTY IMAGES

jącej), by dostrzec, że punkty otrzymuje się głównie za dopasowanie odpowiedzi do klucza, a margines błędu przy próbach niekonwencjonalnej interpretacji tekstów kultury pozostaje na tyle wąski, że ryzyko utraty punktów za brak poprawności rzeczowej skutecznie zniechęca uczniów do prezentowania niezależnego toku rozumowania. Kształcenie w polskiej szkole okazuje się treningiem w zakresie rozpoznawania pożądanych przez system wzorców. Sprawność techniczna i analityczna synteza są stawiane ponad zdolnościami kreatywnymi.

Taka szkoła – poprzez standaryzację, presję ocen i przymusową organizację czasu – oddala się coraz bardziej od tego, jak wyglądają współczesne miejsca pracy, w których stawia się coraz silniej na autonomię pracowników oraz spłaszcza struktury zarządzania. Poza szkołą dzieci coraz częściej spotykają się z systemami uczenia się opartymi na natychmiastowej informacji zwrotnej, dopasowanym indywidualnie poziomie trudności czy wielości dostępnych ścieżek i wysokiej sprawczości, a szkoła nadal pracuje według jednego tempa, jednego programu i opóźnionej informacji zwrotnej. Im bardziej świat zewnętrzny staje się interaktywny, tym bardziej wsteczna staje się szkoła.

Dlatego nie można się dziwić, że tak silnie kontrastująca ze światem dookoła szkoła raczej zniechęca niż zachęca do zdobywania wiedzy. W pracy Richarda M. Ryana i Edwarda L. Deciego „Intrinsic and extrinsic motivation from a self-determination theory perspective" z 2020 r. autorzy, podsumowując dekady badań, przypominają, że trwała motywacja do uczenia się wyrasta z trzech podstawowych potrzeb psychologicznych: autonomii, kompetencji i relacji. Człowiek uczy się głębiej wtedy, gdy ma poczucie sprawstwa, rozumie sens wysiłku i doświadcza realnego kontaktu z innymi. Tymczasem obecny model szkolny przesuwa uwagę dziecka z ciekawości świata na pytanie, „co będzie na sprawdzianie" i „jaką dostanę ocenę". Sondaże Gallupa (znów dane z USA) wskazują, że 25–54 proc. uczniów w systemie K-12 (obejmującym edukację od przedszkola do końca szkoły średniej) nie doświadcza w szkole poczucia, że to, czego się uczy, jest ważne, interesujące, rozwijające albo zgodne z ich talentami. Mniej niż połowa badanych deklarowała, że szkoła wyzwala ich intelektualnie lub pozwala robić to, w czym są najlepsi. To nie brzmi jak fabryka kompetencji przyszłości. To raczej instytucja, która zbyt często bierze naturalnie ciekawe świata dzieci, by po kilku latach wypuścić młodych ludzi wytrenowanych w przetrwaniu lekcji.

Promieniowanie stresu

Nam, rodzicom, może się wydawać, że sensotwórcza wartość przekazywanej w szkole wiedzy powinna iść w parze z przekazywaniem i ugruntowywaniem w naszych dzieciach wartości oraz z socjalizowaniem ich do bycia dobrymi partnerami, rodzicami, obywatelami. Niestety, niezdrowa (bo wykluczająca prawdziwą twórczą kooperację przy zdobywaniu wiedzy) konkurencja, którą promuje się w szkole, nie tworzy środowiska, w którym taki proces może się odbywać. Przeciwnie – szkoła to wywołujący w naszych dzieciach niepewność i stres poligon konfrontujący je z niesprowokowaną przemocą.

Według policyjnych statystyk liczba zarejestrowanych prób samobójczych w grupie dzieci i młodzieży w wieku 13–18 lat wzrosła w Polsce z 348 w 2013 r. do 2092 w 2024 r., czyli ok. sześciokrotnie. Szkoła jest za to współodpowiedzialna. Dlaczego? Bo karmi nasze dzieci chronicznym stresem, który odbija się piętnem na ich psychice.

Skala zjawiska w Polsce jest poważna. Przygotowana przez ekspertów Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej „Diagnoza Młodzieży 2026" wskazuje, że blisko 70 proc. uczniów postrzega szkołę jako istotne źródło stresu. Mechanizmów jego wytwarzania i przekazywania w szkole jest wiele, ale jeden jest szczególnie interesujący, bo nieoczywisty, a jednocześnie wpisany w samą strukturę funkcjonowania szkoły. Zawód nauczyciela często chcą wykonywać osoby z misją, pełne pasji. Z takim nastawieniem idą na studia. System, w jakim lądują po ich ukończeniu, premiujący nie zapał, lecz wysługę lat, szybko ich demotywuje. Nie dość, że przestają się starać, to stają się nie tyle cyniczni, ile przemęczeni i zestresowani. To zaś skutkuje wyczerpaniem, które – jak wskazuje cytowana na stronach rządu wojewódzka konsultant w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży dla województwa mazowieckiego dr n. med. Lidia Popek – dotyczy aż 72 proc. badanych nauczycieli.

Badanie „Stress contagion in the classroom? The link between classroom teacher burnout and morning cortisol in elementary school students" Evy Oberle i Kimberly Schonert-Reichl z 2016 r. pokazało, że stres i wyczerpanie nauczyciela może być dosłownie wpisywane w biologię uczniów. Autorki przebadały 406 dzieci z klas IV–VII w Vancouver, mierząc u nich poranny poziom hormonu stresu – kortyzolu. Następnie zestawiły te wyniki z poziomem wypalenia zawodowego nauczycieli. Wniosek był uderzający: im bardziej wypalony nauczyciel, tym wyższy poranny kortyzol u dzieci w jego klasie.

Ktoś powie: niech się hartują – będą silniejsze w przyszłości. Tyle że… nie hartują się i będą w przyszłości słabsze. Badanie przeprowadzone pod kierownictwem Attili Keresztesa „Hair cortisol concentrations are associated with hippocampal subregional volumes in children" z 2020 r. pokazało, że wyższy poziom kortyzolu we włosach – co wskazuje na stres przewlekły, a nie chwilowy – wiąże się u dzieci z mniejszą objętością wybranych części hipokampu ważnych dla pamięci i regulacji emocji. To hartowanie może więc być nie tyle treningiem odporności, ile biologicznym obciążeniem, które warto traktować jako realne ryzyko rozwojowe.

Zbawienny składak

Na czym więc miałoby polegać reformowanie szkolnictwa tak, by było dostosowane do wymogów współczesności? Czy to w ogóle wiadomo (tak łatwo przecież krytykować szkołę za jej niedoskonałości, ale konstruktywna propozycja to już inna para kaloszy)? Na szczęście odpowiedź na to pytanie jest twierdząca.

Systemy szkolne na całym świecie mają wiele punktów wspólnych, ale też wiele różnic. Wspólne są zazwyczaj akurat te elementy, które uczniom szkodzą – choćby konieczność uczęszczania na zajęcia od wczesnych godzin porannych. Badania mówią jasno: w okresie dojrzewania nastolatki później robią się senne i później są gotowe do pełnej aktywności. Nasze dzieci nie „siedzą po nocach", tylko robią to, co dyktuje im neurobiologia ich mózgu. Gdy lekcje zaczynają się o godzinie 7:30 albo 8:00, nastolatki tracą codziennie od kilkudziesięciu minut do ponad godziny snu. A w skali tygodnia robi się z tego poważny deficyt. To niewyspanie utrudnia radzenie sobie ze stresem.

Dlatego inspiracji do reform szukajmy w różnicach – to nietypowe elementy systemów edukacyjnych bywają lepiej dostosowane do realiów zmieniającego się świata. W istocie, jeśli dokonać odpowiednio szerokiego przeglądu systemów oświatowych, wszędzie znajdziemy coś wartego naśladowania. I z tych nietypowych elementów można złożyć całkiem nową jakość.

Przykładowo w Finlandii i Estonii szkoły mają większą autonomię kadrową i organizacyjną niż w wielu bardziej scentralizowanych systemach, a nacisk silniej przesuwa się z samego odtwarzania materiału na kompetencje przekrojowe: myślenie analityczne, współpracę, samodzielność, odpowiedzialność za wynik i rozwiązywanie problemów. To nie znaczy, że nie ma tam żadnych testów sprawdzających twardą wiedzę – są, ale nie są fundamentem systemu. Okazuje się, że dylemat „albo szkoła surowa, testowa i na poważnie, albo chaotyczna i nieskuteczna" jest fałszywy. Możliwa jest szkoła wymagająca, ale nietresująca.

Z systemów kształcenia Montessori warto zaczerpnąć przekonanie, że dziecko nie musi przez cały dzień siedzieć w ławce, słuchać nauczycielskich mądrości i co 45 minut zmieniać przedmiotu, by uczyć się skutecznie. Są badania pokazujące, że metoda Montessori może nie tylko podnosić wyniki, lecz także zmniejszać różnice między dziećmi z różnych środowisk społeczno-ekonomicznych. Dla reformatora płynie stąd bardzo praktyczny wniosek: mniej ocen, mniej tresury, więcej samodzielnej pracy, mieszanych wiekowo grup, dłuższych bloków koncentracji i dobrze przygotowanego środowiska edukacyjnego. Owszem, nie każda nowoczesna metoda działa, ale też nie wszystko, co tradycyjne, działa dobrze. Zapewne państwowy system edukacji nie może po prostu znieść programu, ocen, klas i odpowiedzialności dorosłych, ale może je maksymalnie uelastycznić bez ryzyka, że wyprodukuje biernych analfabetów, przyczyniając się do katastrofy społecznej.

Szkoła przyszłości nie powinna być ani romantyczną antyszkołą, ani fabryką zdających testy, ale powinna stawiać na autonomię szkół i nauczycieli, samodzielność uczniów i eksperyment. Dlatego reforma edukacji nie polega więc na tym, by podnieść standardy rozumiane jako więcej kontroli, więcej testów i więcej presji – a takie wrażenie można odnieść, słysząc niektóre głosy w dyskusji o obecności matematyki na maturze.

Zresztą istnieją już w Polsce modelowe szkoły – najczęściej prywatne – które realizują wiele z powyższych postulatów. Jedna z gdańskich szkół prywatnych łączy podstawę programową z indywidualnym planem ucznia, tutoringiem, warsztatami i projektami. Zamiast sztywnego modelu stawia na pracę interdyscyplinarną i kompetencje wykraczające poza standardowy program, od psychologii i komunikacji po biznes czy nowe technologie. Nie jest to pedagogiczna rewolucja, lecz dowód, że szkołę można organizować inaczej.

A co, jeśli nie wierzymy, że szkołę w ogóle można zreformować? Że np. takie przepisy jak Karta nauczyciela, które realnie reformy blokują, są ze względów politycznych nie do ruszenia? Wtedy zostaje edukacja domowa. To też jest rozwiązanie – być może wcale nie gorsze, choć na pewno wymagające więcej od rodziców. Stąd moja prośba do prawodawców: nie odbierajcie rodzicom i dzieciom tej możliwości. ©℗

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl caf54d5d45

Kultura

Niech żyje życie! Precz z nawykami!

Noszę w sobie ciekawość dziecka i przez cały czas się czegoś uczę. Ciągle w ruchu. Niedługo skończę 83 lata, a mam tyle energii!

Z Urszulą

Dudziak

rozmawia Konrad Wojciechowski

FOT. ZUZA KRAJEWSKA/MATERIAŁY PRASOWE

Pani Urszulo...

A możemy mówić sobie po imieniu? Spędziłam 30 lat w Nowym Jorku. Tam wszyscy zwracają się do siebie na „ty". A ja ten zwyczaj wprowadzam tutaj, w Polsce. Mów mi, jak chcesz: Uleńka, Ulusia, Ula, Urszula, Ulka.

A dasz mi swój numer? Chciałbym zadzwonić i usłyszeć w słuchawce telefonu singlową piosenkę z twojej najnowszej płyty, którą nagrałaś w formie automatycznej sekretarki.

Chodzi ci o kawałek „Mango Dance"? Dawno temu, kiedy zamieszkałam w Nowym Jorku, skomponowałam sygnał muzyczny dla ludzi, którzy będą chcieli do mnie dzwonić. We wstępie do nowego utworu zacytowałam fragment tamtego sygnału.

I kiedy znajomi telefonowali, jaka była ich pierwsza reakcja?

Dzwonili i narzekali: „Ula, to jest za długie. Nie mamy już miejsca na nagranie wiadomości". A ja uważam, że wyszło pięknie, bo symulowałam w tym nagraniu całą orkiestrę.

Nikt ci niczego nie zaśpiewał przez telefon?

Dostawałam dużo wiadomości od Jurka Kosińskiego, które zachowałam. On faktycznie śpiewał i mówił: „Myślisz, że tylko ty tak potrafisz?".

Czekałaś na wiadomość od kogoś szczególnego?

Liczyłam, że usłyszę w słuchawce: „Halo, czy to Ula Dudziak? Mówi Fryderyk Chopin". Mógłby też zadzwonić Mozart albo, powiedzmy, Einstein i powiedzieć: „Słyszałem, że jesteś marna z matmy, ale wyjawię ci sekret, jak zostać geniuszem".

Jak powstają twoje piosenki? Słyszysz śpiew ptaków na ulicy, klakson samochodowy, szelest wiatru i wchodzisz z wokalizą?

Mamy farmę z Bogusiem – moim partnerem. Wybudowaliśmy się na Podlasiu i jesteśmy za pan brat z przyrodą – ćwierkają ptaszki, orzeł przylatuje, podchodzą sarenki, łosie i dziki, a nawet niedźwiedzie. Świetnie mnie to nastraja. Czasami pomysł przyjdzie do głowy. Usłyszę fajny dźwięk i od razu biegnę na poddasze, gdzie trzymam instrumenty, w tym keyboardy, mam do dyspozycji całe studio. Siadam, notuję, na ogół przy fortepianie. Coś się urodzi albo nie. W Warszawie mamy mieszkanie w centrum miasta, ale w bocznej uliczce. Przed oknem rosną piękne dęby i graby. Kiedyś był tu śmietnik. Jak tylko się wprowadziłam, zadzwoniłam do urzędu miasta i zrobili mi cudny trawnik z ozdobnym czosnkiem. Uwielbiam naturę.

Przyjezdni, którzy zwiedzają Warszawę, wolą spacerować przetartymi szlakami. To trochę jak z muzyką – lubimy znane piosenki, byle nie za daleko od mainstreamu. A ty odpływasz od wiodącego nurtu w jazz.

Lubię ekstrema, skrajności, obrzeża, a przy tym dobrze się czuję w centrum świata, w centrum uwagi. Przecież w dalszym ciągu mam mieszkanie w samym sercu Manhattanu. Za rogiem są Carnegie Hall, Essex House, Central Park. Mogę mieszkać na wsi, ale musi być blisko do miasta.

Jesteś typem domatorki?

Fajnie siedzieć w domciu samej przez kilka godzin czy parę dni. Nigdy się nie nudzę – zawsze znajdę zajęcie, które sprawia mi frajdę. Gada do mnie wewnętrzny głos: „Ula, Ula, idź tam. Ula, zobacz, tutaj jest niesamowicie: jaki wiatr, jaka burza, jakie piękne słońce!". Noszę w sobie ciekawość dziecka i przez cały czas się czegoś uczę. Ciągle w ruchu. Niedługo skończę 83 lata, a mam tyle energii! Jestem zachłanna na życie, gotowa na nowe doświadczenia i czekam w ekstazie na to, co się stanie jutro.

Urszula Dudziak – wokalistka jazzowa, kompozytorka, autorka tekstów. Razem z Michałem Urbaniakiem koncertowała w Europie i Ameryce. Wylansowała m.in. utwór „Papaya", który stał się hitem na Filipinach i w Meksyku. Obecnie promuje na koncertach piosenki z najnowszej płyty „UlaNova"

eprasa.pl caf54d5d45

No właśnie, na płycie „UlaNova" śpiewasz, że masz czas. To są bardzo odważne deklaracje w twoim wieku.

Zdaję sobie sprawę, że czas leci i dotyka każdego. W pewnym momencie fizjologia da o sobie znać, ale mnie to absolutnie nie stresuje. Żyję tu i teraz – to jest najważniejsze. Mam ochotę jeszcze pożyć długo. A co będzie jutro, pojutrze? Nie wiem. Na dzisiaj jest cudownie.

A mówią „starość nie radość". Seniorzy po osiemdziesiątce pakują się na tamten świat, piszą testamenty, a ty – piosenki!

Ja się rozpakowuję, mój drogi, uwierz mi! Opowiadam o tym na koncertach – jak chwytać szczęście. To kwestia wyboru i pozbycia się francowatych, niepraktycznych, szkodliwych nawyków. Tak, nawyków! Paraliżują nas złe przyzwyczajenia. A trzeba zaufać swojej mądrości i spostrzegawczości. Wychodzę na scenę i wiem, że zaśpiewam najpiękniej, jak tylko potrafię, a wtedy ludzie mi uwierzą i będą szczęśliwi.

I co mówisz? Że kiedy zaczyna się życie – po czterdziestce, pięćdziesiątce?

Mówię tak: „Słuchajcie, kobiety, kiedy skończyłam 70 lat, zaczęłam pisać książki, znalazłam sobie chłopaka i wybudowałam pierwszy dom". Mój starszy o kilka lat brat jest moim totalnym przeciwieństwem i jak usłyszał o tej budowie, zaczął mędzić: „Co?! Chcecie wybudować dom? Brzozową trumienkę sobie wybudujcie!". A ja, niezrażona, nawołuję: „Kobiety, przekwitacie po to, żeby rozkwitnąć na nowo". Wiem z własnego doświadczenia. Przeszłam wiele kataklizmów w życiu, a patrzcie, jaka jestem atrakcyjna! Świadoma swojej inteligencji, mądrości. I nigdzie się nie spieszę. Mam zawsze zielone światło. Naprawdę, nie ma sensu narzekać. Kiedy marudzimy, wtedy chorujemy. Precz z nawykami i stereotypami! Niech żyją miłość i wolność!

Czy Boguś uważnie słuchał twojej płyty i nie jest zazdrosny? Wyłowiłem fragment z piosenki, który mówi, że szukasz miłości!

Absolutnie to nie dotyczy mojego faceta, nie śpiewam o nas. Pasowało mi do tekstu i przekazu, chciałam dobrze nastroić kobiety. Ja swoją miłość znalazłam i jestem bardzo szczęśliwa. Dobraliśmy się z Bogusiem jak w korcu maku. Mamy podobne spojrzenie na wiele spraw, czasami się nie zgadzamy, ale na końcu zawieramy piękny kompromis. Takiego mężczyzny szukałam. Sama go poderwałam. Chciałam się popisać przed koleżanką. Pokazała mi jego zdjęcie, a ja na to: „Dawaj telefon, zaraz do niego zadzwonię".

Było kilku mężczyzn w twoim życiu. Czy tak samo jak ty kochali wolność, czy może bardziej kochali wolność niż ciebie?

Cholera, daj pomyśleć... Dla Urbaniaka liczyła się wolność – to była muzyka, którą kreował. Wtedy czuł się wolny, ale byłam mu potrzebna w życiu. Miał we mnie oparcie, stawiałam go do pionu. Myślę, że Michał bardzo mnie kochał i ja też go kochałam. Aczkolwiek nie było równowagi między nami – czułam przed nim wielki respekt. Byłam jego publicznością. I z tej widowni nagle wyłoniła się osoba, która fantastycznie zaśpiewała. Ja się przy Michale nie czułam stuprocentową kobietą. Biegałam w tenisówkach, nosiłam instrumenty za chłopcami z zespołu. Taka dziewczynka harcerka.

Po Michale pojawił się pisarz Jerzy Kosiński.

Kiedy poznałam Jurka, był mną zauroczony, zakochany po uszy. Mówił, że jestem wybitnie inteligentna, atrakcyjna i seksowna. Początkowo pomyślałam sobie: „Kurczę, pewnie czegoś chce ode mnie". Później, gdy nasz związek okrzepł i zakleszczyliśmy się na dobre, w dalszym ciągu powtarzał to samo; prawił niesamowite komplementy. I ja w te słowa uwierzyłam. Czy mnie zmienił? Nie, nie zmienił. On ze mnie wydobył kobietę. A Michał stworzył jako artystkę.

A teraz jest Boguś.

Mam cudownego przyjaciela, który się mną opiekuje. Imponuje mi wiedzą, mądrością i poczuciem humoru.

Gdybyś szła przez życie z jednym mężczyzną, wielu rzeczy byś się nie nauczyła?

Masz rację. Ludzie się z czasem zmieniają. Ona się zmienia, on się zmienia. Z pewnością są pary, które rosną i rozwijają się razem. To samo ich podnieca, to samo inspiruje, są w jesieni życia tak samo sobą zainteresowani jak na początku znajomości. Mogą tak żyć długo i szczęśliwie...

Ale pewnie są jakieś „ale".

Ale to są bardzo rzadkie sytuacje. Patrzę na swoją przeszłość i jestem bardzo zadowolona, że byłam z Urbaniakiem, że byłam z Kosińskim. Poznałam w międzyczasie jeszcze kilku narzeczonych, więc mam punkt odniesienia, rozumiesz? Przyrzeczenia, obietnice czy ślubowania w stylu: „będziemy ze sobą bez względu na wszystko, na zawsze, do końca życia" są – moim zdaniem – nieprawdziwe. To ładnie brzmi, tylko zwykle się nie sprawdza.

Ula, jak zatem żyć?

Ja żyję w trzech cyklach. Pierwszy to ekstaza – czuję radość, frajdę, fascynację i silnie to przeżywam. Kiedy wszystko gra, przychodzi dobrostan. A kiedy coś nie gra – zachoruje ktoś bliski, wydarzy się tragedia – nachodzi mnie refleksja: co robić? Albo to naprawić, albo się z tym pogodzić. Jestem przeciwniczką tracenia czasu niepotrzebnie. Bywa, że nic nie można zrobić, nie tędy droga, szkoda więc każdej minuty. Po co rozpamiętywać, obwiniać siebie? Kto mnie tak urządził, że mam niskie poczucie swojej wartości? Pewnie ten chłopak z czwartej klasy, który powiedział, że jestem brzydka. A może nauczyciel, bo nazwał mnie tumanem. Albo rodzic, twierdząc: „Nic z ciebie nie będzie". Czy były mąż...? Nie główkuję nad tym. Strata czasu! Bo narzekanie wchodzi w nawyk. A nawykom mówię „nie"!

Urszula Dudziak

„UlaNova"

Poczekaj... Jako ludzie jesteśmy zniewoleni przez nawyki, bo inni oczekują od nas takiego myślenia?

Oczywiście są reguły, których musimy przestrzegać, dbając o komfort własny i drugiego człowieka. Co innego zwyczaje – że np. młodszy ustępuje starszemu – a co innego stereotypy, nawyki. Podam ci przykład. Słuchasz kłótni polityków, jak nie dają jeden drugiemu dojść do słowa lub dokończyć zdania. Oni z góry wiedzą, co powie ich oponent, dlatego zaczynają go przekrzykiwać. To im weszło w nawyk. Dlatego nie oglądam już polityki. Jedynie sport.

Co konkretnie?

Mecze tenisowe. Zajmuję trzecie miejsce w Polsce w mojej kategorii wiekowej, bo po osiemdziesiątce w tej dyscyplinie już prawie nikogo nie ma. (śmiech) Ale słuchaj, gram jak szatan! Mamy z Bogusiem własny kort. I Boguś czasami ze mną przegrywa. Poczucie humoru pozwala mu jednak godnie znieść porażkę. Nie podkładam mu się tak, jak podkładałam na korcie Urbaniakowi. I kiedy się do tego przyznałam w książce, Michała bardzo to ubodło.

A nie miał żalu, że kiedy pojechaliście do Ameryki, duża wytwórnia najpierw wydała płytę tobie („Newborn Light" – duet z Adamem Makowiczem), a nie jemu?

Nie, absolutnie. Czuł, że to jego kreacja, jego pomysł. Poza tym Adam grał w naszym zespole. Ja mogłabym mieć żal do Michała. Opowiadał w wywiadach: „Pojechałem do Nowego Jorku, grałem, nagrywałem". A przecież wyjeżdżaliśmy razem, wspólnie koncertowaliśmy, rejestrowaliśmy materiał na płyty. Dlaczego mnie ostentacyjnie pomijał? Kiedyś go o to zapytałam.

I co usłyszałaś?

Nic! Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Nie wiem, może górę wzięło ego Michała. Trzeba mu oddać, że o tę Amerykę walczył jak lew. Wymyślił cały wyjazd. Ja stałam z tyłu. Namawiałam go, żeby wracać natychmiast do Polski, że nie mamy szans.

Dlaczego?

Byłam lękliwa, niepewna siebie. I w dodatku czułam się oszukana, bo Michał opowiadał wiele niestworzonych historii o Ameryce po pierwszym wyjeździe z zespołem The Wreckers w 1962 r. – jak tam cudownie, na każdym rogu klub jazzowy, ludzie chodzą w smokingach; istny raj na ziemi. Przyjeżdżamy na miejsce: szaleje upał, straszą wieżowce, zero zieleni. A ja pochodzę ze wsi, rozumiesz? I mówię zatrwożona: „Gdzieś ty mnie przytargał?! To jest piekło, żaden raj".

Przeszła ci wtedy przez głowę myśl „po co mi ten jazz?". Zaczynałaś od festiwalowej piosenki. Mogłaś zostać drugą Marią Koterbską czy Reną Rolską. Nie chciałaś?

Co by było, gdyby... Spotkałam na swojej drodze Krzysia Komedę, Urbaniaka i wiele innych osób. Dużo im zawdzięczam. Gdyby nie oni... Byłam zakochana, miałam narzeczonego, muzyka – perkusistę, który mieszkał w Brzegu nad Odrą. Może wyszłabym za niego za mąż i uczyła w szkole śpiewu. Cholera wie! Jestem w czepku urodzona. Trafiłam na ludzi, którzy wspierali we mnie potrzebę tworzenia czegoś innego. Bo jak występowałam z Urbaniakiem, przyszedł moment, że przestałam śpiewać, wróciłam do Polski i zdawałam na studia – znudziło mnie wykonywanie standardów i naśladowanie Dionne Warwick, Elli Fitzgerald czy Arethy Franklin. Czułam, że nie zostanę drugą Ellą. I jeżeli nie wymyślę czegoś unikalnego, to koniec ze śpiewaniem. Z Michałem dużo podróżowaliśmy po Europie. Przynosił do hotelu elektroniczne przystawki i zmieniał klasyczne brzmienie swoich skrzypiec. Ja do tych przetworników podłączałam mikrofon i mój głos stawał się oryginalny. Do Stanów przywieźliśmy nową muzykę.

Naprawdę nową? Ile było w tym prawdy, a ile reklamy?

Nie mówiliśmy, że jesteśmy dobrzy, tylko genialni. Gramy nową muzykę, jakiej jeszcze nie było. Amerykanie słuchali i otwierali oczy ze zdziwienia. Szybko podłapali kompozycje Michała, doposażyli go w fantastyczną sekcję rytmiczną i poczuli, że nasza muzyka jest ich muzyką; czymś, z czego wyrośli. Tak powstało fusion – połączenie rocka, jazzu i klasycznych melodii ludowych. Michał zawsze powtarzał, że Bóg wymyślił muzykę, a ludzie podzielili ją na gatunki. I co zrobił Urbaniak? W sprytny i genialny sposób zaczął je ze sobą łączyć. Była w tej muzyce siła. Dlatego Amerykanie nie mogli się oprzeć.

Nie trzeba wymyślać koła na nowo, tylko mieć odwagę je toczyć?

Najważniejsze, żeby się nie bać. Z lęku biorą się kompleksy, awantury i wojny. Mnie to nie obchodzi. Za chwilę kończę 83 lata, a zobacz, jakie mam branie! Mnóstwo występów, projektów, propozycji. Promuję na koncertach najnowszą płytę, a w lipcu zapraszam na Energa Ladies' Jazz Festival (Ula jest dyrektorką artystyczną i gwiazdą festiwalu – red.), gdzie wystąpię z New York Voices. Dzieje się! Ludzie się do mnie uśmiechają, jestem im potrzebna. To cudowne uczucie. ©℗

eprasa.pl caf54d5d45

Granice są zawsze polityczne

Wprawdzie minęło ponad tysiąclecie od momentu, gdy Karol Wielki dokonał podziału cesarstwa na trzy części, ale owo karolińskie dziedzictwo nadal ma znaczenie

Piotr

Kofta

Znakomita powieść Chiny Miéville'a „Miasto i miasto" (oryg. wyd. 2009, wyd. pol. Zysk i S-ka, Poznań 2010, przeł. Michał Jakuszewski) to w zasadzie kryminał noir, w którym policyjni śledczy muszą wyjaśnić tajemnicę brutalnego morderstwa pewnej młodej kobiety. Tym, co odróżnia tę książkę od innych kryminałów, jest osobliwy kształt miejskiego krajobrazu. Dwa miasta, Beszel i Ul Qoma, nie tylko ze sobą graniczą – one się na siebie nakładają. Ta sama ulica może leżeć w obu metropoliach, w każdym mając inną nazwę i charakter. Beszel i Ul Qoma tkwią w bliźniaczym, zwierciadlanym uścisku, na rozmaite skomplikowane sposoby dzieląc ogromną część wspólnej przestrzeni.

Problem w tym, że każde z tych miast jest stolicą innego kraju, a kraje te, mówiąc oględnie, nie przepadają za sobą. Przez setki lat siłą rzeczy wypracowały jednak szczególny model niechętnej kooperacji, bazujący na świadomym ignorowaniu: każdy obywatel od dziecka uczy się, jak prawidłowo nie zauważać ludzi, pojazdów czy budynków znajdujących się w drugim mieście. Towarzyszy temu złożony system norm obyczajowych i prawnych oraz drobiazgowych map, fizyczne przekraczanie niewidzialnej bariery zaś jest surowo zabronione – pilnuje tego budząca grozę Przekroczeniówka, tajna służba niezależna od władz obu państw.

Oczywiście intryga u Miéville'a uderza w same podstawy chwiejnej równowagi tego świata – niczego nie zdradzę, nie chcąc odbierać czytelnikom przyjemności z lektury. Niemniej „Miasto i miasto", oprócz tego że bawi się klasycznymi motywami czarnego kryminału, jest także spekulatywnym traktatem na temat granic, tych faktycznych i tych wyobrażonych. Bierze na tapet znane nam podzielone miasta w rodzaju Berlina czy Jerozolimy, ale przeprowadza przy okazji dystopijny eksperyment myślowy, pytając, jak bardzo samo istnienie granic zmienia nasz sposób postrzegania społecznej rzeczywistości. Granice są zawsze narzędziem politycznym, nie mają naturalnego charakteru, ale niewykluczone, że nie umielibyśmy już bez nich żyć – zdaje się twierdzić Miéville.

Umowne i arbitralne

Z tym twierdzeniem przypuszczalnie zgodziłby się także angielski dziennikarz i pisarz John Elledge – jego książka „Granice świata. 47 opowieści o tym, jak linie na mapie zmieniły historię" wychodzi z podobnych założeń. Jest to zbiór porządnie i dowcipnie napisanych felietonów, które – choć niedługie – nie są na szczęście pretekstowe, za każdym stoją wiedza i sensowny research.

Arbitralność i umowność granic nie sprawia, że stają się one mniej ważne. Wiele zmieniła tu zwłaszcza epoka nacjonalizmów, gdy ściśle wyznaczone terytorium zaczęło być niezbywalnym, uświęconym składnikiem narodowej tożsamości. Na przeciwległym biegunie znajdują się wykreślane od linijki granice byłych kolonii, prowadzone przez tereny, których ani zachłanni politycy, ani kartografowie pracujący w służbie europejskich potęg nigdy nie widzieli na oczy – takie kreski na mapie wyglądają zabawnie i dziwacznie, w praktyce jednak stawały się przyczyną tragedii podzielonych społeczności i zarzewiem krwawych wojen. Jeszcze innym przypadkiem są agresywne państwa (post)imperialne. „Od wielu stuleci Rosja ma tego rodzaju problem, że sama nie wie dokładnie, gdzie się zaczyna i gdzie się kończy" – powiedział Václav Havel w 2008 r. po rosyjskiej inwazji na Gruzję. To, co Havel sformułował jako problem, jest najpewniej podstawową zasadą istnienia Rosji.

Elledge sporo miejsca poświęca czasom nowoczesnym, ale na początku uczciwie cofa się do początku – do momentu, gdy wynaleziono granice, a wraz z nimi tożsamości polityczne. Co było pierwsze? Jajko (granice) czy kura (tożsamości)? Oczywiście nie da się tego klarownie wyjaśnić, zwłaszcza że przez dziesiątki tysięcy lat, z uwagi na skąpe zaludnienie, grupy ludzkie tworzyły raczej małe, oddalone od siebie wysepki, rozdzielone oceanem dzikiej przyrody. „To prawdopodobnie nie przypadek, że pierwszą znaną nam granicą jest (...) linia między Górnym a Dolnym Egiptem" – pisze Elledge. „Dolina Nilu była jednym z nielicznych miejsc wystarczająco urodzajnych i zamożnych, by utrzymać dwa sąsiadujące, konkurencyjne państwa".

Mapa Europy w 1579 r. autorstwa flamandzkiego kartografa Abrahama Orteliusa

Konsekwencje limes

Zwykliśmy myśleć w kategoriach państw narodowych, ale porządek granic (oraz rozmaite zjawiska cywilizacyjne) choćby na naszym kontynencie ukształtowały się w starożytności i średniowieczu, gdy nie było dokładnych map ani idei narodu. Dominowały wtedy terytorialne interesy władców i dynastii, godzących utrzymanie swoich posiadłości z systemem dziedziczenia i mariażu, a także chcących obłaskawiać lub podbijać wrogów. Elledge przypomina nam, że w jakiejś mierze nadal ponosimy konsekwencje tego, na których rzekach Rzymianie wyznaczyli limes swojego imperium (na Renie i Dunaju – dla przypomnienia). Zauważa także, że wprawdzie minęło ponad tysiąclecie od momentu, gdy Karol Wielki dokonał zgodnie z ówczesnym obyczajem podziału cesarstwa na trzy części (Francję Zachodnią, Wschodnią i Środkową, czyli odpowiednio – w dużym przybliżeniu – dzisiejszą Francję, Niemcy oraz pas krajów od Holandii przez Belgię, Luksemburg po północne Włochy), ale owo karolińskie dziedzictwo nadal ma znaczenie: spory terytorialne o „Francję Środkową" bądź „Burgundię" (biorę w cudzysłów, bo nie chodzi ściśle o współczesną krainę geograficzną) leżały u podstaw obu XX-wiecznych wojen światowych, a Unia Europejska została wymyślona m.in. jako sposób załagodzenia tego odwiecznego konfliktu.

Co ciekawe, sama idea Europy ma korzenie w pewnej umowie dotyczącej granic, ostatecznie jako kontynent stanowi ona ledwie wypustek Azji. Ów wynalazek – że istnieje jakiś istotny podział na europejski Zachód i azjatycki Wschód – jest jednak stary: pochodzi od starożytnych Greków, a ugruntował się w czasach ich wojen z Persją; już wtedy go jednak kwestionowano (czynił to choćby Herodot). Byłaby to zapewne jeszcze jedna zaginiona tradycja, gdyby nie kwestie religijne – najpierw ekspansja islamu, potem schizma w Kościele – które utrwaliły wyobrażoną linię podziału.

Kartograficzny kolonializm

Rozmaite osobliwości na mapie Europy, w rodzaju mikropaństw takich jak Liechtenstein czy Andora albo dziwacznych enklaw i eksklaw, są niejednokrotnie pozostałościami owych starych metod wyznaczania granic, gdy liczyły się prywatne posiadłości z nadania, nie zaś spójność terytorialna centralnie administrowanych państw. Gdyby nie słabość XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej i jej roz-

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. FINE ART IMAGES/HERITAGE IMAGES/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

pad w wyniku rozbiorów, to – kto wie? – być może miasta z tzw. zastawu spiskiego (obecnie m.in. Poprad, Nowa Wieś Spiska czy Stara Lubowla na Słowacji) nadal jako eksklawy należałyby do Korony Polskiej bądź jej prawnego następcy w ramach gwarancji spłaty pożyczki, jakiej Władysław Jagiełło udzielił w 1412 r. Zygmuntowi Luksemburskiemu. W każdym razie miejscowości te wytrwały w zależności od Rzeczypospolitej aż do końca lat 60. XVIII w.

Oczywiście Elledge pisze w swojej książce pośrednio o zmieniającym się i globalizującym świecie – w połowie zeszłego tysiąclecia Europa zaczęła się stawać potęgą kolonialną, a granice wyznaczane na świeżo zdobytych terenach miały charakter zarazem utylitarny i eksploatacyjny. Jeżdżenie paluchem po mapie miewało katastrofalne konsekwencje, jak choćby w wypadku podziału Bliskiego Wschodu po upadku imperium osmańskiego. Ale wcześniej kolonizatorom także nie brakowało rozmachu – by przypomnieć np. słynny traktat z Tordesillas, zawarty w 1494 r. między Hiszpanią a Portugalią, a dzielący dość swobodnie ziemski glob na strefy wpływów tych dwóch królestw. Co ciekawe, przemoc i eksploatacja wzmagały się wraz z postępami kartografii – gdy mapy są wierne i pełne detali, nie masz już gdzie się schować przed zachłannym imperializmem (Elledge omawia to, co nazywa „kartograficznym kolonializmem", na przykładzie angielskiego podboju Irlandii).

„Granice świata" przejawiają pewną tendencję do skupiania się na obszarach anglojęzycznych, ale w gruncie rzeczy nie jest to poważna wada: np. historia wyznaczania (zdobywania w wyniku wojen, oczyszczania z rdzennej ludności) gigantycznego terytorium Stanów Zjednoczonych okazuje się zwyczajnie fascynująca. A mechanizmy łączące władzę, biurokrację, biznes, ideologię, przemoc oraz kreślenie granic na mapie są przecież uniwersalne. Elledge zgrabnie i nie bez złośliwości pokazuje te kluczowe powiązania. ©℗

John Elledge

„Granice świata. 47 opowieści o tym, jak linie na mapie zmieniły historię", przeł. Katarzyna Sowada, Tomasz Sowada, PWN, Warszawa 2026

KOMUNIKAT

OBWIESZCZENIE
z dnia 15 maja 2026 r.

Stosownie do art. 7 ust. 1 pkt 3 i ust. 1c, w związku z art. 13 ust. 4 ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. - o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (t.j. Dz.U. z 2024 r., poz. 1199) oraz art. 10 § 1 i art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r. poz. 1691)

WOJEWODA PODKARPACKI
Z A W I A D A M I A

że na wniosek złożony w dniu 23.04.2026 r., Polskich Sieci Elektroenergetycznych S.A. ul. Warszawska 165, 05-520 Konstancin – Jeziorna, **zostało wszczęte postępowanie administracyjne**

znak: I-XIII.7841.1.2026

w sprawie udzielenia pozwolenia na rozbiórkę dla zamierzenia budowlanego pn.: **„Rozbiórka części urządzeń elektroenergetycznych, konstrukcji wsporczych, fundamentów i dróg wewnętrznych na terenie Stacji Elektroenergetycznej 750/400/110 kV Rzeszów", w ramach zadania inwestycyjnego pn.: „Rozbudowa i przebudowa stacji 750/400/110 kV Rzeszów",** na działkach o numerze ewidencyjnym:

4054/1 (TB1K/00012127/6), **4054/2** (TB1K/00010155/7), **4054/3** (TB1K/00012127/6)
obręb ewid.: 0011 Widełka, jednostka ewidencyjna: 180602_5 Kolbuszowa (W), powiat kolbuszowski, województwo podkarpackie.
– w nawiasie ( ) podano numer księgi wieczystej

Z aktami sprawy strony niniejszego postępowania mogą zapoznać się w siedzibie Podkarpackiego Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie, Delegatura w Tarnobrzegu, ul. 1 Maja 4a, 39-400 Tarnobrzeg, pokój 210, w dniach pracy urzędu, po uprzednim telefonicznym uzgodnieniu terminu i godziny przyjęcia pod numerem telefonu 15 822 46 08.

Zgodnie z art. 7 ust. 4, w związku z art. 13 ust. 4 ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (tj. Dz. U. z 2024 r., poz. 1199), w przypadku gdy po doręczeniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:
1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o pozwoleniu na budowę strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie pozwolenia na budowę strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej,
   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia Wojewodzie Podkarpackiemu danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

AUTOPROMOCJA

DGP | Dziennik Gazeta Prawna

Jak prawidłowo zawierać i rozwiązywać umowy o pracę w 2026 r.

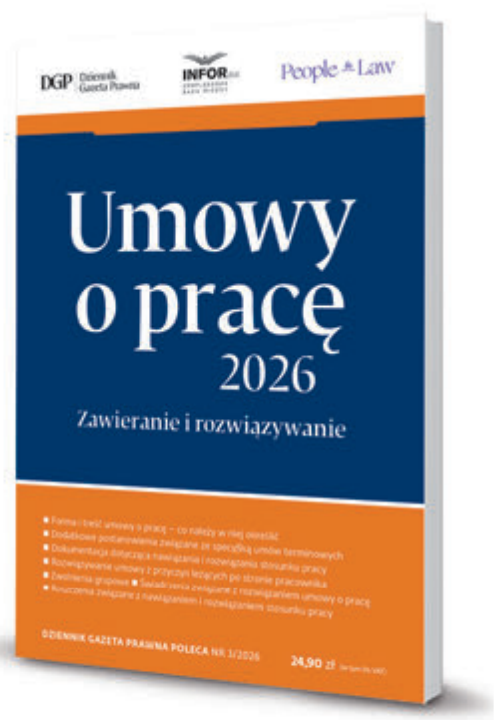

W poradniku omawiamy m.in.:
- formę i treść umowy o pracę
- dodatkowe postanowienia związane ze specyfiką umów terminowych
- rozwiązywanie umowy z przyczyn leżących po stronie pracownika
- roszczenia związane z nawiązaniem i rozwiązaniem stosunku pracy

Kup **sklep.infor.pl**

eprasa.pl caf54d5d45

Historia

FOT. PHOTOBUREAU/UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/UNIVERSAL IMAGES GROUP/FORUM

Rosyjskie wojska w Mandżurii w czasie wojny z Japonią 1904–1905

Za słabi na imperium

Na początku XX w. granice Rosji rozciągały się od Kalisza po Władywostok, a carowie kreślili plany kolejnych podbojów. Jednak w starciu z nowoczesnymi wojskami zachodnimi armia imperium okazała się niezdolna do odnoszenia decydujących zwycięstw

Andrzej

Krajewski

Rosyjskie wojska nadal okupują jedną piątą terytorium Ukrainy, ale coraz więcej wskazuje, że zdolności bojowe agresora się wyczerpują. Sięgająca czasów imperium wiara w militarną potęgę Kremla – jeszcze kilka lat temu dość powszechna – zanika. Podobnie było podczas I wojny światowej, która ujawniła przepaść dzielącą rosyjską armię od niemieckiej.

Przymus podboju

„Tempo tej ekspansji było niezwykłe: w niektórych okresach Rosja carska rozszerzała swoje terytorium o 1,8 proc. dotychczasowej powierzchni rocznie. Szybciej rozwijały się tylko dwa państwa – Imperium Otomańskie i Stany Zjednoczone. W obu jednak okres tak żywiołowej ekspansji zakończył się już po kilkudziesięciu latach, podczas gdy Rosja powiększała swój obszar nieprzerwanie – od średniowiecznych początków aż po XX wiek" – pisze w artykule „Rosja carów – imperium kolonialnym?" Wojciech Stanisławski. „U progu naszej epoki, w 1914 r., zajmował on 1/6 globu, sięgając od Łodzi do Władywostoku i od Helsinek po szczyty Pamiru" – dodaje. Pomimo posiadania największego w dziejach imperium, obejmującego obszar o powierzchni ponad 22 mln km kw. (większe było tylko kolonialne imperium brytyjskie), ambicje Kremla były większe. Po rozbiorze Rzeczpospolitej przez cały XIX w. kolejni carowie usiłowali doprowadzić do upadku Turcji, przejąć kontrolę nad Bałkanami oraz cieśninami Bosfor i Dardanele.

Na przeszkodzie w realizacji tych planów stanęła w dużej mierze rewolucja przemysłowa. Jeszcze na początku XIX w. siły zbrojne imperium Romanowów nie ustępowały zachodnim pod względem wyposażenia i organizacji. Jednak podczas wojny krymskiej, pół wieku później, żołnierze francuscy i brytyjscy dysponowali już dużo lepszymi karabinami i artylerią. Zawsze też mogli liczyć na adekwatną do potrzeb logistykę. I mieli wszystkiego pod dostatkiem: amunicji, żywności, odzieży, butów, opa-

eprasa.pl caf54d5d45

trunków itd. Rosyjska logistyka działała fatalnie, a brak linii kolejowych utrudniał odpowiednie dostawy zaopatrzenia i szybkie przerzucanie nowych oddziałów w rejon walk. W efekcie wojna krymska zakończyła się dla Rosji militarną klęską, mimo że car powołał pod broń aż 2 mln żołnierzy.

Dwie dekady później, w 1877 r., Petersburg po raz kolejny próbował opanować Bałkany i zniszczyć Turcję. Ale wystarczyło, by brytyjska flota zjawiła się w okolicach Bosforu i zachodnie mocarstwa zagroziły carowi wojną. Aleksander II zrejterował, słusznie uznając, że armia imperium poniesie porażkę. Stało się też jasne, że dalsze przesuwanie granic Rosji w Europie przerasta jej zdolności militarne. Całą uwagę skierowano więc na Azję Środkową i Daleki Wschód.

Upokorzony kolos

Michaił Heller w „Historii imperium rosyjskiego" cytuje rozmowę ministra wojny gen. Aleksieja Kuropatkina z ministrem finansów Siergiejem Witte, krótko przed 1900 r. Generał relacjonował mu to, co usłyszał od młodego cara Mikołaja II: „Nasz monarcha ma w głowie ogromne plany: zdobyć dla Rosji Mandżurię, zmierzać do przyłączenia Korei do Rosji. Marzy też o wzięciu pod swoje berło Tybetu". I dalej: „Chce zająć Persję, zdobyć nie tylko Bosfor, ale i Dardanele".

Na drodze do realizacji tych marzeń wkrótce stanęła Japonia, która parła do opanowania Korei i wypchnięcia Rosji z Chin. Zaczynając od Mandżurii, Tokio planowało podporządkować sobie Państwo Środka. W tym celu dokonało gruntownej modernizacji państwa, a najlepszym dowodem jego sukcesu były bitwy wygrane przez Japończyków z Rosjanami w 1904 r. Podobnie potoczyły się starcia na morzu. Flota Kraju Kwitnącej Wiśni zatopiła pod Cuszimą 27 z 38 okrętów rosyjskiej eskadry. Nie przetrwał żaden z ośmiu carskich pancerników. Przeciwnik stracił zaledwie trzy torpedowce.

Wojna rosyjsko-japońska okazała się jeszcze bardziej spektakularną klęską od wojny krymskiej. Upokorzenie było tym większe, że Rosjanie zebrali baty nie od szanowanych przez nich Niemców, Brytyjczyków czy Francuzów, lecz od pogardzanych Azjatów. Car Mikołaj II – jak podkreśla Heller – „w dzienniku nie nazywał Japończyków inaczej jak «makakami»".

Przegrana carskiej armii z nowoczesnymi siłami zbrojnymi zainicjowała w Rosji rewolucyjne wrzenie. W 1905 r. imperium groził całkowity chaos, a nawet obalenie władcy. Dopiero nowy premier Piotr Stołypin spacyfikował bunt i rozpoczął reformy mające otworzyć Rosję na nowoczesność, by zaczęła nadrabiać dystans do Zachodu. Stołypin ustrzegł też kraj przed kolejną porażką. Wobec narastającego konfliktu z Serbią cesarz Franciszek Józef ogłosił 5 października 1908 r. włączenie Bośni i Hercegowiny do monarchii austro-węgierskiej. Ziemie te od 30 lat znajdowały się we władaniu Habsburgów, ale Mikołaj II uznał to za naruszenie rosyjskich interesów. Dążył do wojny z Austro-Węgrami – podobnie jak część generałów. Ale Stołypin wyraził sprzeciw, twierdząc, że rosyjska armia nie zdoła pokonać europejskiego mocarstwa. Ostatecznie zapał cara ostudził cesarz Niemiec Wilhelm II, jasno komunikując, że jego wojska wezmą w obronę Habsburgów. Minister spraw zagranicznych Aleksandr Izwolski musiał więc przekazać swojemu austro-węgierskiemu odpowiednikowi, że Mikołaj II godzi się na aneksję Bośni i Hercegowiny. „Ówcześni dziennikarze nazywali to «dyplomatyczną Cuszimą»" – podkreśla Heller.

Po ponad dekadzie rządów Mikołaj II musiał odłożyć marzenia o podbojach – nawet ekspansja na południe stała się niemożliwa, bo blokowali ją Brytyjczycy, którzy kontrolowali Indie, Persję i Afganistan. Dla rosyjskich elit politycznych, a już zwłaszcza dla samego cara, terytorialna stagnacja była czymś niewyobrażalnym.

Otarcie się o nowoczesność

Na szczęście dla Mikołaja II porażki na arenie międzynarodowej nie przekładały się na rozwój gospodarczy kraju. Sojusz z Francją przyniósł olbrzymi napływ francuskich inwestycji i dostęp do taniego kredytu. Ukrytym potencjałem imperium Romanowów zachłysnęli się też inwestorzy z Niemiec, USA, Wielkiej Brytanii i Szwecji. Około 1910 r. Rosja zaczęła odnotowywać największy na świecie wzrost PKB. „W ciągu dziesięciu lat (1902–1912) ludność kraju zwiększyła się ze 139 mln 300 tys. do 171 mln 100 tys. Zajmując pierwsze miejsce w Europie pod względem liczby ludności i obszaru (54,1 procent powierzchni Europy, nie licząc posiadłości azjatyckich), imperium rosyjskie było w oczach świata wielkim mocarstwem z wielką przyszłością" – pisze Michaił Heller.

Potencjał przemysłowy dawał szansę na szybką modernizację armii. W Petersburgu liczono też, że dotychczasowy układ sił w Europie powoli się załamuje, a dzięki zawartemu z Francją i Wielką Brytanią sojuszowi Rosja znajdzie się wśród beneficjentów zmiany. W 1913 r. przygotowano „Wielki program wzmocnienia sił zbrojnych", którego realizację złożono na barki premiera, a zarazem ministra finansów Władimira Kokowcowa. „Plan ten zakładał coroczne powiększanie liczby wojska, unowocześnienie sprzętu, zwiększanie mocy artylerii (zwłaszcza ciężkiej) i oddziałów technicznych, a także rozbudowę przemysłu zbrojeniowego" – pisze Władysław Bortnowski w artykule „Potencjał militarny Rosji przed pierwszą wojną światową i podczas wojny w konfrontacji z rzeczywistością".

Ponad 700 mln rubli rocznie (z budżetu wynoszącego ok. 2 mld rubli) przeznaczono na zakup uzbrojenia, ale też inwestycje w nowe linie kolejowe, fabryki broni, twierdze, wyposażenie dla żołnierzy itd. W tym samym 1913 r. Niemcy wydały na zbrojenia 2,1 mld marek, czyli ok. 970 mln rubli. „W Berlinie obliczano, że na przełomie lat 1916–1917 Rosja będzie mogła własnym wysiłkiem uzbroić ośmiomilionową armię. Generał Moltke [szef sztabu generalnego – red.] ostrzegał rząd, że przewaga, jaką rozporządzają Niemcy w danym momencie, będzie z każdym rokiem ulegała coraz większej niwelacji, a w 1917 r. trzeba już będzie liczyć się z przewagą sił Trójporozumienia (Ententy – przyp. aut.)" – podkreśla Bortnowski. Dla Helmutha von Moltke „młodszego" było jasne, że jeśli nadarzy się okazja do wszczęcia wojny, Berlin musi ją wykorzystać.

Powrót do przeszłości

Szefowie sztabów generalnych Rosji i Francji gen. Jakow Żylinski i gen. Joseph Joffre spotykali się od 1911 r., aby opracować wspólne plany operacyjne. „Na ostatniej naradzie (1913) Joffre i Żylinski uzgodnili, że armia rosyjska przejdzie do ograniczonych działań zaczepnych przeciw Niemcom w ciągu 14 dni od ogłoszenia mobilizacji, a ogólną ofensywę rozpocznie w 23–25 dniu mobilizacji" – relacjonuje Bortnowski. Generał Żylinski obiecał Francuzom, że po miesiącu wojny wojska carskie pierwszego rzutu zajmą Prusy Wschodnie i będą gotowe nacierać na Berlin. Dla armii, która po raz ostatni walczyła jak równy z równym z siłami zachodniego mocarstwa 100 lat wcześniej, był to ambitny cel.

W sierpniu 1914 r. Rosjanie szykowali się do boju tak, jakby wcześniejsza seria klęsk się nie wydarzyła. „Po upływie 24 godzin od wypowiedzenia wojny przez Niemcy, 20 VII (2 VIII) 1914 r., znalazły się przed Pałacem Zimowym w Petersburgu nieprzeliczone tłumy. Nie było końca wiwatom i okrzykom, manifestowano pod hasłem oddania wszystkich sił i starań w celu rychłego rozgromienia wroga, entuzjazm doszedł do zenitu, gdy na balkonie pałacu pojawił się imperator" – pisze Ludwik Bazylow w artykule „Polityka wewnętrzna Rosji w okresie pierwszej wojny światowej". Również mobilizacja, mimo trudności wynikających z małej gęstości sieci kolejowej, przebiegła zaskakująco sprawnie. „W październiku 1914 r. stan liczebny rosyjskich sił zbrojnych wraz z formacjami w głębi kraju będzie wynosił 5 460 000 żołnierzy, co stanowiło prawie 50 proc. sił sojuszniczych (Anglia, Francja, Belgia, Serbia, Czarnogóra). Ententa miała pod bronią łącznie 11 057 000, a Niemcy i Austro-Węgry 6 182 000 ludzi" – wylicza Władysław Bortnowski. Mimo to o losach imperium Romanowów rozstrzygnęły już w pierwszym miesiącu wojny stare słabości.

Jak pod Grunwaldem

Do połowy sierpnia 1914 r. Rosja skoncentrowała na froncie aż 10 armii od Niemna po granicę z Rumunią. W tym czasie zwycięskie wojska niemieckie maszerowały na Paryż. „Dlatego Joffre domagał się od rosyjskiej Kwatery Głównej, by rozpoczęła chociażby ograniczone działania w kierunku na Prusy Wschodnie" – wyjaśnia Bortnowski. Rosjanie dotrzymali obietnic sprzed wojny. „Dowódca frontu północno-zachodniego gen. Żylinski wydał rozkazy, by 1. Armia (Niemen) gen. Pawła Rennenkampfa rozpoczęła 17 sierpnia natarcie w kierunku Insterburga (obecnie Czernichowska), obchodząc od północy obszar jezior mazurskich, zaś 2. Armia (Narew) gen. Aleksandra Samsonowa przekroczyła 19 sierpnia granicę i działając na zachód od głównego kompleksu jezior starała się odciąć Niemcom drogę odwrotu na linię Wisły" – pisze Bortnowski. Broniący Prus Wschodnich gen. Maks von Prittwitz szybko zorientował się, że wróg ma ponaddwukrotną przewagę nad jego 8. Armią i po krótkim oporze zarządził odwrót za linię Wisły, zostawiając na łasce Rosji całe Prusy Wschodnie. Ich utrata już na początku wojny byłaby wielkim wstrząsem dla Niemców. Dlatego gen. von Moltke odebrał dowodzenie von Prittwitzowi i na czele 8. Armii postawił gen. Paula von Hindenburga, któremu jako szefa sztabu przydzielił gen. Ericha Ludendorffa. Do tego momentu Rosjanie zaskakiwali Niemców swoją nowoczesnością. Zmobilizowali i przygotowali do ofensywy dwie armie o wiele szybciej, niż spodziewał się Berlin. Opracowali też plan działań, który od razu postawił wroga w trudnym położeniu.

Jednak wszystko posypało się po przejściu do fazy walk, gdy 2. Armia gen. Samsonowa wkroczyła do Prus. „Łączność między korpusami oraz między korpusami i sztabem armii działała źle. Dowódca armii otrzymywał meldunki ze znacznym opóźnieniem, jednostki «gubiły się» w terenie, sztab armii w coraz mniejszym stopniu świadom był aktualnego położenia wojsk" – pisze Bortnowski. Hindenburg dostrzegł chaos u wroga i zdecydował się na ryzykowny krok: uderzenie wszystkimi siłami na Samsonowa. Zakładał, że armia Rennenkampfa nie zdąży nadejść z odsieczą. Gdyby się pomylił, na drodze wojsk rosyjskich aż po Berlin nie stałoby żadne wielkie zgrupowanie wojskowe, bo von Moltke prawie wszystkie siły rzucił na Paryż. Ale Hindenburg się nie pomylił. W trwającej siedem dni bitwie pod Tannenbergiem (obecnie Stębark) rozgromił oddziały rosyjskie. Mimo przewagi liczebnej wojsk carskich Niemcy mieli dwa razy więcej dział i karabinów maszynowych. Co więcej, gen. Samsonow utracił kontakt z poszczególnymi korpusami, zaś ich dowódcy bali się podejmować samodzielnie decyzje. Rankiem 30 sierpnia 1914 r. generał popełnił samobójstwo, nie doczekawszy się przez tydzień odsieczy.

Hindenburg przegrupował siły i uderzył na wojska gen. Rennenkampfa. „Dowódca armii rosyjskiej utracił kontrolę nad podległymi sobie jednostkami, czterokrotnie zmieniał miejsce swego postoju i fałszywie informował gen. Żylinskiego o przebiegu działań. Obawiając się, że podzieli los 2. Armii, nakazał odwrót pod osłoną twierdz Osowiec–Grodno–Kowno" – relacjonuje Bortnowski. 170 tys. rosyjskich żołnierzy poległo lub trafiło do niewoli. Armie w panice wycofywały się na wschód, a rozwścieczony Mikołaj II zdymisjonował gen. Żylinskiego, obwiniając go za klęskę. Nic to nie zmieniło. Carskie wojska pozostały niezdolne do odnoszenia decydujących zwycięstw w starciu z nowoczesnym wojskiem. To wkrótce przesądziło o losie imperium. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl caf54d5d45

KOMUNIKAT

DZIAŁKA POD DZIAŁALNOŚĆ USŁUGOWĄ W NADMORSKIEJ GMINIE REWAL

WÓJT GMINY REWAL

zgodnie z art. 38, art. 40 ust.1, pkt. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz.399)

OGŁASZA PRZETARG USTNY NIEOGRANICZONY

NA SPRZEDAŻ PRAWA WŁASNOŚCI NIERUCHOMOŚCI POŁOŻONEJ NA TERENIE GMINY REWAL

Lp.	Położenie	Nr działki	Pow. (m^2)	Opis i przeznaczenie nieruchomości w planie zagospodarowania przestrzennego	Termin zagospodar. Nieruchom.	Cena wywoławcza netto (PLN)	Wadium (PLN)
1.	**Śliwin/Rewal SZ1G/00013173/8**	**570/1**	19214	Nieruchomość niezabudowana, położona w sąsiedztwie skrzyżowania drogi wojewódzkiej 102 Kołobrzeg – Dziwnów z drogą powiatową Rewal – Gryfice, w bezpośrednim sąsiedztwie miejscowości Rewal, na granicy obrębów Rewal i Śliwin. Odległość od Kołobrzegu 48 km, od Gryfic 27 km. Otoczenie działki tworzą grunty wykorzystywane jako centrum usługowe, tj. market spożywczy, market budowlany, stacja paliw, myjnia bezdotykowa oraz tereny zabudowy wypoczynkowej i nieużytkowane grunty rolne. Nieruchomość nie zadrzewiona. Uzbrojenie terenu w odległości do 50 m od granic działki. Przeznaczenie w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego – tereny zabudowy usługowej. Do netto ceny zostanie doliczony 23% podatek Vat. Nieruchomość z ustanowioną służebnością przesyłu.	Od dnia podpisania umowy sprzedaży	9 000 000	500 000

PRZETARG odbędzie się 24 lipca 2026 roku
o godz. 11^{00} w Sali Konferencyjnej Urzędu Gminy w Rewalu przy ulicy Mickiewicza 19.

Wadium wniesione w pieniądzu należy wpłacić do 20 lipca 2026 r.
na konto Urzędu Gminy Rewal: Bank Spółdzielczy Gryfice o/Rewal **14 9376 0001 0010 5242 2002 0009.**

W przetargu mogą brać udział osoby, które wpłacą wadium w wysokości i terminie wskazanym w ogłoszeniu. Uczestnicy biorą udział w przetargu osobiście lub przez pełnomocnika. Pełnomocnictwo wymaga formy pisemnej. **W przypadku osób fizycznych** (w tym prowadzących działalność gospodarczą) a pozostających w związku małżeńskim nieposiadających rozdzielności majątkowej, do dokonywania czynności przetargowych konieczna jest obecność obojga małżonków lub jednego z nich z pełnomocnictwem małżonka uprawniającym do udziału w przetargu.
W przypadku osób prawnych oraz innych jednostek organizacyjnych nieposiadających osobowości prawnej, a podlegających rejestracji – do czynności przetargowych konieczny jest aktualny odpis z rejestru (potwierdzony przez reprezentanta podmiotu w dniu przetargu) albo pobrany samodzielnie wydruk komputerowy (w formie papierowej) aktualnych informacji o podmiocie wpisanym do KRS, względnie wraz z uchwałami odpowiednich organów osoby prawnej podjętymi w trybie określonym przepisami kodeksu spółek handlowych, właściwych pełnomocnictw, dokumentów tożsamości (dowód osobisty lub paszport) osób reprezentujących podmiot.

Przed przetargiem należy okazać dowód wpłaty wadium w pok. 108 mieszczącym się na I piętrze budynku Urzędu Gminy w Rewalu przy ul. Mickiewicza 19. Integralną częścią ogłoszenia jest załącznik Nr 1, w którym zebrano informacje dotyczące zbywanej nieruchomości.

Podpisanie aktu notarialnego nastąpi najpóźniej do dnia 14 sierpnia 2026 r. Osoba ustalona kandydatem na nabywcę winna wpłacić całość zaproponowanej kwoty za nabywaną nieruchomość przed podpisaniem aktu notarialnego. Kandydat na nabywcę ponosi również koszty sporządzenia aktu notarialnego. Niestawienie się kandydata na nabywcę w terminie najpóźniej do dnia 14 sierpnia 2026 r. w celu podpisania aktu notarialnego spowoduje odstąpienie od umowy i utratę wadium. W wyjątkowych sytuacjach istnieje możliwość przesunięcia terminu zawarcia umowy.

Pierwszy przetarg odbył się w dniu 04.10.2024 r., drugi przetarg odbył się w dniu 09.05.2025 r., trzeci przetarg odbył się w dniu 15.10.2025 r., czwarty przetarg odbył się w dniu 28.01.2026 r.

Informacje udzielane są
w Urzędzie Gminy Rewal, pok. 107,
tel. 91 38 49 021
i pok. 108, tel., 91 38 49 019,
e-mail: przetargi@rewal.pl.

Ogłoszenie o przetargu zostało podane do publicznej wiadomości na tablicy ogłoszeń
Urzędu Gminy w Rewalu oraz na stronie Biuletynu Informacji Publicznej
Przetargi 2026 r. | BIP - Urząd Gminy Rewal

DZIAŁKA POD DZIAŁALNOŚĆ USŁUGOWĄ W NADMORSKIEJ GMINIE REWAL

Nienawiść nie miała szans

Przyjmując tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, Żabiński wypowiedział słowa, w których zawarł istotę światopoglądu nakazującego mu bezwzględnie reagować na zło: „Ryzykowałem i dałem schronienie tym ludziom nie dlatego, że byli żydami, lecz dlatego, że byli prześladowani”

Z Marią

Paszyńską

rozmawia Zofia Brzezińska

Akcja pani powieści rozgrywa się w warszawskim ogrodzie zoologicznym. Ciekawe miejsce od momentu powstania.

Owszem. Pierwsze zwierzyńce zaczęły się pojawiać w Warszawie już w XVIII w., kiedy to królowie, a później i bogata magnateria, pragnący po trosze zaspokoić swoją potrzebę kontaktu z naturą w mieście, a po trosze zaimponować w towarzystwie, zaczęli zakładać zwierzyńce przy swoich rezydencjach, np. w Wilanowie. Pierwszy prywatny ogród zoologiczny w stolicy założył pod koniec XIX w. Jan Maurycy Kamiński. Krokiem milowym dla przyszłego warszawskiego zoo z prawdziwego zdarzenia był otwarty w 1926 r. zwierzyniec Mieczysława Pągowskiego, słynnego cukiernika i miłośnika przyrody. W ciągu pierwszych siedmiu tygodni zwierzyniec ten odwiedziło przeszło 24 tys. gości, co dobitnie pokazało, że Warszawiacy lubują się w podobnych miejscach. Miejski Ogród Zoologiczny powołano do życia uchwałą magistratu z czerwca 1927 r. Ówczesnym władzom miasta bardzo zależało na tym, aby Warszawa, stolica kraju będącego świeżo po odzyskaniu niepodległości, dorównywała splendorem innym europejskim metropoliom, które często miały już własne ogrody zoologiczne. Nasz został uroczyście otwarty 11 marca 1928 r. na Pradze, gdzie znajduje się do dziś, a jego pierwszym dyrektorem był przyrodnik i ornitolog Wenanty Burdziński, który założył już wcześniej ogród zoologiczny w Kijowie. Pierwsze zwierzęta, które się w nim znalazły, trafiły tam z dwóch prywatnych zwierzyńców stołecznych. W późniejszych latach placówka nawiązała stosunki z innymi ogrodami zoologicznymi na terenie Europy – narodziła się polityka wymiany zwierząt. Niestety, Wenanty Burdziński zmarł zaledwie kilka miesięcy po inauguracji swojego dzieła, w grudniu 1928 r. Było wyjątkowo zimno, a Burdziński przygotowywał ogród i klatki zwierząt na zimę, co skończyło się dla niego śmiertelnym zapaleniem płuc.

Nowym dyrektorem zoo został Jan Żabiński.

Człowiek absolutnie nietuzinkowy. Zoolog, fizjolog, popularyzator zoologii, działacz niepodległościowy. Ukończył zoologię na Uniwersytecie Warszawskim oraz studia rolnicze w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Świat zwierząt stanowił jego absolutną pasję, co szybko stało się jasne po innowacjach, które zaczął wprowadzać na terenie ogrodu. To on naciskał na to, aby klatki i boksy zwierząt urządzać w sposób maksymalnie przypominający warunki środowiska naturalnego ich mieszkańców. Zgodnie z jego ideą zwierzęta przebywające w zoo miały być jego pełnoprawnymi mieszkańcami, czującymi się tam jak najlepiej, a nie jedynie „wyposażeniem” ogrodu służącym ludzkiej rozrywce. Dzisiaj konieczność upodobnienia przestrzeni dla zwierząt do ich naturalnych środowisk jest sprawą oczywistą, ale w latach 30. XX w. była to rewolucja w myśleniu o potrzebach poszczególnych gatunków i rozwiązanie to nie było powszechnie spotykane. W swoich wysiłkach Jan mógł liczyć na nieustające wsparcie żony Antoniny, którą poznał przy okazji pracy na SGGW, gdzie pełniła ona funkcję archiwistki. Antonina podzielała mężowską fascynację światem zwierząt, wykazywała także ambicje literackie. Przed wojną opublikowała kilka książek i opowiadań dla dzieci o tematyce zwierzęcej. Żabiński regularnie występował natomiast z pogadankami na temat zwierząt w Polskim Radiu. Nagrał ich ponad 1,5 tys.

Maria Paszyńska

„Wybór Ady”
wyd. Książnica, Warszawa 2026

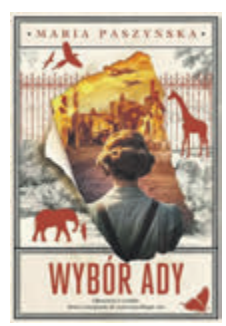

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. NAC

Słonica Tuzinka w warszawskim ogrodzie zoologicznym, Warszawa 1937 r.

Żabiński starał się ratować ginące gatunki – m.in. likaony i konie Przewalskiego. Najlepszym dowodem na to, że udało mu się stworzyć swoim podopiecznym przyjazne środowisko, były narodziny w 1937 r. słonicy Tuzinki. Warto bowiem nadmienić, że słonie bardzo rzadko rozmnażają się w niewoli i każdorazowe przyjście na świat słoniątka w warunkach ogrodu zoologicznego jest wielkim wydarzeniem.

Jako dyrektor ogrodu Żabiński miał styczność z wieloma niemieckimi specjalistami, co później odegrało ogromną rolę.

Już podczas kampanii wrześniowej Jan został zatrzymany przez niemiecki oddział, w skład którego wchodził jego znajomy, przyrodnik, dr R. Müller. Niemiec wziął go w „dżentelmeńską niewolę", a po kapitulacji Warszawy odwiózł bezpiecznie do miasta.

W niemieckim – już zmienionym przez nazistów – prawie były zapisy o humanitarnym traktowaniu zwierząt. A jak było w praktyce?

Stosunek Niemiec hitlerowskich do zwierząt jest tematem bardzo szerokim. System prawny III Rzeszy rzeczywiście wprowadził wiele przepisów, które z jednej strony realnie służyły zwierzętom, ale ich drugim, ukrytym dnem często była chęć uderzenia w określone grupy narodowościowe czy wyznaniowe (np. w żydów przy okazji zakazu uboju rytualnego). Sam Hitler faktycznie został w pewnym momencie wegetarianinem, ale z kolei Hermann Göring uwielbiał polowania. Hitler przymykał na to oko, zresztą wielu czołowych nazistów podzielało przekonanie marszałka Rzeszy o tym, że polowanie jest częścią kontynuacji etosu germańskiego. Niemiecki zoolog Lutz Heck, znajomy Żabińskich, prowadził nawet prace nad odtworzeniem wymarłego tura, zwierzęcia uważanego za „wybitnie germańskie".
Trzeba jednak wyjaśnić, jak wyglądała sytuacja zwierząt w warszawskim zoo po rozpoczęciu okupacji niemieckiej. Już w marcu 1939 r. Żabiński otrzymał od wojska polecenie sporządzenia listy zwierząt, które w przypadku wojny ze względów bezpieczeństwa będą musiały zostać odstrzelone. Z bólem serca pozwolił na odstrzał już we wrześniu, gdy po pierwszych bombardowaniach stało się jasne, że żaden obiekt – nawet niemające kompletnie znaczenia militarnego zoo – nie uchroni się przed niemieckim barbarzyństwem. Nie można było pozwolić na to, aby zwierzęta, w tym groźne drapieżniki, które wydostały się ze zniszczonych klatek, tworzyły dodatkowe zagrożenie dla ludzi. Niektóre zwierzęta zostały ubite na mięso dla mieszkańców walczącego miasta, inne zginęły jeszcze w trakcie bombardowania. Najcenniejsze okazy Niemcy wywieźli do swoich ogrodów zoologicznych. W ten sposób do Królewca trafiła m.in. Tuzinka. Akcją wywozu zwierząt dowodził Lutz Heck. Żabińscy jeszcze wierzyli, że ich dawny kolega działa w dobrej wierze, a zwierzaki zostaną zwrócone po zakończeniu wojny. Wyjątkowo przykre wydarzenia rozegrały się na terenie zoo w noc sylwestrową w 1940 r. Niemcy zorganizowali sobie wówczas zabawę w safari. Żołnierzom, przyodzianym w płaszcze podbite skórami, rozdano strzelby i rogi zwierzęce wypełnione mocnym trunkiem. Potem zaczęła się rzeź zwierząt ocalałych z bombardowań i niewywiezionych. Po stracie ostatnich podopiecznych Żabińscy stanęli w obliczu zagrożenia, że dalsza ich obecność na terenie ogrodu zostanie uznana za zbędną. Założyli więc tam legalną hodowlę świń i lisów.

Jak w tak trudnych okolicznościach udało im się ocalić niemal – jak podają niektóre źródła – 300 osób?

Te okoliczności były jeszcze trudniejsze, niż nam się wydaje i niż pokazują nam niektóre filmy o Żabińskich. To nie było tak, że do zoo co jakiś czas przyjeżdżali Niemcy i wzbudzali swoimi wizytami przerażenie ukrywających się osób. Niemcy przebywali tam prawie przez cały czas! Tak, na terenie warszawskiego ogrodu zoologicznego w czasie okupacji stacjonowały czasowo różne jednostki niemieckie: Wehrmacht, policja, Straż Graniczna czy oddziały gospodarcze. Żabińscy oraz ukrywani przez nich ludzie żyli więc w ciągłym napięciu i strachu, że zostaną wykryci, co niechybnie skończy się ich śmiercią. W niektórych relacjach można spotkać wątki, że część ludzi ukrywała się w „klatkach po zwierzętach". Jest to częściowo prawda, lecz warto doprecyzować, jak to technicznie wyglądało – oczywiście te osoby nie przebywały na wybiegu, gdzie byłyby widoczne, lecz zajmowały przestrzenie w tunelach pomiędzy wybiegiem wewnętrznym i zewnętrznym. Jako kryjówki wykorzystywano również szopy czy składy narzędzi. Niektórzy ludzie ukrywali się też w willi Żabińskich. Tak czas wojny spędziła np. rzeźbiarka żydowskiego pochodzenia Magdalena Gross, przyjaciółka Żabińskich, która pracowała dla nich od 1930 r., tworząc posążki zwierząt. Za rzeźbę Żubra w 1937 r. otrzymała nawet złoty medal na Międzynarodowej Wystawie Sztuki w Paryżu.
W zoo znaleźli schronienie także zagrożeni aresztowaniem członkowie konspiracji czy harcerze Szarych Szeregów. Każdy, kto potrzebował pomocy. Co więcej, przechowywano tam również broń i amunicję oraz produkowano ładunki wybuchowe, w czym Jan czynnie uczestniczył. Ponadto osobiście zajmował się hodowlą pasożytów (włosieni krętych), którymi zatruwano mięso przeznaczone dla Niemców. W tych warunkach starano się toczyć możliwie normalne życie. Antonina czuwała nad domem i wychowywała dwoje dzieci: Ryszarda (ur. 1932 r.) oraz Teresę (ur. 1944 r.). To również jej obowiązkiem było ostrzeganie mieszkańców willi o pojawiającym się niebezpieczeństwie. Gdy siadała do fortepianu, aby zagrać „Arię Menelaosa" Offenbacha z operetki „Piękna Helena", to był sygnał, że wszyscy muszą natychmiast wejść do swoich kryjówek i zachować idealną ciszę.

Antonina wspominała, że oboje z mężem codziennie nosili przy sobie cyjanek. Każdego dnia więc godzili się z możliwością utraty życia za to, co robili.

Jan mógł się swobodnie poruszać po mieście?

Pracował jako kierownik wydziału ogrodniczego w zarządzie miejskim Warszawy, miał przepustkę umożliwiającą mu wstęp do getta. Wchodził tam często pod pretekstem odbioru odpadków do karmienia świń i lisów. Dzięki temu mógł utrzymywać kontakt i pomagać wielu mieszkańcom getta. W ten sposób regularnie odwiedzał np. swojego przyjaciela Szymona Tenenbauma, wybitnego entomologa i twórcę imponującej kolekcji 0,5 mln owadów. Żabiński wyniósł tę cenną rzecz z getta. Naciskał, by Tenenbaum zgodził się na zorganizowanie mu ucieczki na aryjską stronę. Niestety, naukowiec podjął decyzję o pozostaniu w getcie, co ostatecznie skończyło się jego śmiercią. Żabińskim udało się jednak ocalić jego żonę. Fragment kolekcji owadów Tenenbauma do dziś znajduje się na ścianie w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą, jak swój dom na terenie zoo nazywali Żabińscy. Jan, członek Armii Krajowej o ps. „Franciszek", wykładał również tajnie zoologię, biologię i parazytologię, a podczas powstania warszawskiego walczył z bronią w ręku. Za swoje dokonania otrzymał wówczas Krzyż Walecznych.

Jak ułożyło się życie Żabińskich po wojnie?

Małżonkowie wraz z dziećmi w 1945 r. powrócili na teren ogrodu zoologicznego i przystąpili do pracy nad odbudową jego zrujnowanych struktur. Żabiński rozwijał dalej swoją naukową karierę, lecz w 1951 r., ze względu na działalność w szeregach AK, zmuszono go do rezygnacji z funkcji dyrektora zoo. W 1965 r. Antonina i Jan zostali uhonorowani przez Instytut Yad Vashem tytułami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Przyjmując ten tytuł, Jan wypowiedział słowa, w których zawarł istotę swojego światopoglądu nakazującego mu bezwzględnie reagować na zło: „Ryzykowałem i dałem schronienie tym ludziom nie dlatego, że byli żydami, lecz dlatego, że byli prześladowani. Gdyby prześladowani byli Niemcy, postąpiłbym tak samo. Mowa bowiem o ludziach, którzy nic nie zrobili, a zostali skazani. To było przerażające". ©℗

FOT. BARTOSZ PUSSAK/MAT. PRASOWE

Maria
Paszyńska
pisarka, pracowała też jako przewodniczka miejska w Warszawie i prawniczka

eprasa.pl caf54d5d45

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Problem trzech inflacji

Rafał Woś

Bardzo ciekawy chiński ekonomista Rong Huang z Uniwersytetu Fudan w Szanghaju uważa, że to, co nazywamy inflacją, jest tylko kawałkiem zjawiska inflacji. I jak się wczytać w to, co pisze, ma sporo racji. Jego zdaniem istnieją więc dwie duże inflacje. Jedną nazywa cyrkulacyjną, drugą – rezerwacyjną. Żeby było jeszcze ciekawiej, tę pierwszą da się podzielić na dwie podinflacje. W sumie mamy więc trzy kawałki tej samej układanki. My zaś wgapiamy się w tę pierwszą. Uważamy, że inflacja oznacza spadek wartości pieniądza. I odwrotnie: deflacja oznacza, że wartość pieniądza rośnie.

Wychodząc z takiego założenia, łatwo ludzi przekonać, że inflacji nie powinni lubić. Przecież nikt nie chce, żeby jego pieniądze traciły na wartości. Stawiam, że większość z nas różni się od Wujka Sknerusa z bajki tym, że nie ma w domu basenu wypełnionego bilonem, w którym sobie regularnie pływa. Praktyczne zastosowania pieniądza sprowadzają się dla nas wyłącznie do tego, że zamieniamy je na różne dobra i usługi. Po drugiej stronie tej transakcji też jest jakiś człowiek. Mało tego, sami też tam bywamy, gdy ktoś od nas coś kupuje, np. płacąc za wykonywaną pracę albo towary, które produkujemy.

Zauważmy jednak, że wówczas problem inflacji/deflacji zasadniczo się dla nas odwraca. Gdy wartość pieniądza maleje, to oferując towar lub usługę, dostajemy za nie więcej. Deflacja nas nie cieszy, bo oznacza, że ceny towarów lub usług, które próbujemy sprzedać, maleją. Mimo że chodzi ciągle o te same dobra. Mówimy tu jedynie o inflacji cyrkulacyjnej, której wartość jest mierzona ceną koszyka dóbr wyrażoną w pieniądzu. To inflacja, którą podają nam urzędy statystyczne w formie wskaźnika CPI (indeks cen konsumpcyjnych). To do niej odnoszą się potem media i politycy. Martwimy się, gdy rośnie, a cieszymy, gdy spada. Chociaż – jak próbowałem pokazać powyżej – powinniśmy na nią spoglądać dwojako, bo występujemy w obu rolach: posiadaczy pieniędzy, za które kupuje się dobra, i posiadaczy dóbr wymienianych na pieniądze.

Z kolei inflacja rezerwacyjna jest związana z tym, że w prawdziwym świecie wszystko ulega rozkładowi, a więc również traci na wartości. Człowiek się starzeje, plony się psują, maszyny się zużywają, budynki się starzeją. Każdy z tych zasobów można na różne sposoby odtwarzać, ale wymaga to inwestycji, a zatem wprowadzenia do gry symboli monetarnych, czyli kapitału. Jedną z jego podstawowych funkcji jest więc zarządzanie tym procesem starzenia. Przy pomocy pieniądza człowiek próbuje uciec przed niszczącym wpływem czasu na wartość. Próbuje zakląć tę wartość, wyrażając ją w lokacie bankowej, papierze wartościowym, obligacji rządowej lub prywatnej itd. Ta dynamika jest właśnie tym, co Huang nazywa inflacją rezerwacyjną. Oznacza zaklętą w kapitał wartość psujących się w czasie dóbr i usług.

Zmiana ich wyceny nie podąża jednak prosto za dynamiką cen. Jeżeli ceny spadają, to do spłaty zobowiązania pieniężnego (np. długu) potrzeba więcej dóbr i usług. Wtedy wymiar cyrkulacyjny słabnie względem wymiaru rezerwacyjnego. I odwrotnie: gdy ceny rosną, do spłaty zobowiązania potrzeba mniej towarów i usług. Cyrkulacja wzmacnia się tym samym względem rezerwacji. I tak się przedstawia problem trzech inflacji. Dopiero biorąc je wszystkie pod uwagę, dostajemy cały obrazek wartości ekonomicznej tego, co nas otacza. W 2006 r. inny Chińczyk, pisarz Cixin Liu, napisał powieść „Problem trzech ciał". Przypadek? A może faktycznie na rzeczywistość trzeba patrzeć bardziej trójkowo? ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Chińskie marki idą po zagranicznych klientów

Artur Klimek

Made in China nie robiło pozytywnego wrażenia, a wiele firm wręcz chciało ukryć prawdziwe pochodzenie produktów, używając hasła „Made in P.R.C.". Przewagi chińskich firm to jednak już nie tylko niskie koszty, lecz także coraz szybszy postęp technologiczny. Warto rozważyć dodanie do tej listy kolejnego elementu – atrakcyjności przekazu marketingowego. To nie jest siermiężna propaganda, lecz budowa pozytywnego wizerunku gospodarki i produktów. Tak jak wiele zachodnich firm zdziwiło się szybkością, z jaką chińskie firmy potrafią dokonywać innowacji produktowych, tak teraz zaskoczeniem może być skuteczność przyciągania przez nie klientów.

Do niedawna Chiny były kojarzone z zachodnimi markami, które lokowały tam produkcję dla obniżki kosztów. W porozumieniach joint venture z zachodnimi firmami lokalni producenci odgrywali rolę słabszego partnera. Nie było miejsca na budowę rozpoznawalnych międzynarodowo chińskich marek. Marki z USA i Europy dominowały też wśród chińskich konsumentów. Mogły sprzedawać dużo i drogo. To właśnie tamtejszy rynek był źródłem zysków dla producentów elektroniki, samochodów i dóbr luksusowych. Rozwój lokalnych firm i podsycane odgórnie nastroje patriotyczne spowodowały jednak, że karta się odwróciła i lokalne przedsiębiorstwa przeszły do ofensywy, odbijając duże połacie rynku. Doświadczenie zdobyte na hiperkonkurencyjnym rynku wewnętrznym tylko zwiększyło apetyt na ekspansję zagraniczną. Lenovo, Huawei, Xiaomi czy BYD konkurują z czołowymi markami z USA i Europy. Obecnie to zachodnie przedsiębiorstwa potrzebują Chin, ponieważ są tam rozwijane najnowsze rozwiązania.

Ponadto nadprodukcja powoduje, że firmy są zdeterminowane do poszukiwania zagranicznych rynków zbytu. Przykładem może być sprzedaż samochodów elektrycznych, która ostatnio na rodzimym rynku spada, ale rośnie za granicą, i to nie tylko w krajach wschodzących. Okazuje się, że Europejczycy są skłonni do kupowania chińskich pojazdów, które często stanowią drugi najważniejszy składnik ich majątku (zaraz po nieruchomościach), wbrew dotychczasowej silnej pozycji budowanej przez dekady inwestycjami w technologię i wizerunek, marek niemieckich, francuskich i włoskich. Nawet wielu Amerykanów, szczególnie w obliczu rosnących cen paliw, bez wahania przesiadłoby się do tańszych i technicznie zaawansowanych chińskich elektryków, gdyby bariery handlowe skutecznie nie blokowały ich sprowadzania do USA.

Samochód stał się wehikułem wzrostu zaufania zagranicznych konsumentów. Skoro Chińczycy potrafią sprzedawać auta, to czemu nie inne produkty, takie jak sprzęt gospodarstwa domowego i elektronika (już wcześniej Shein czy Temu udowodniły, że zachodni konsumenci są skłonni dokonywać zakupów w typowo chińskich firmach, liczą się tylko niskie ceny i szybkość dostaw).

Pojawiły się też przejęcia zagranicznych marek. Ich fala została zastopowana przez wewnętrzne ograniczenia oraz bariery nakładane przez państwa Zachodu. Ważniejsze jest jednak zmniejszenie atrakcyjności zagranicznych marek dla chińskich firm. Po co płacić za coś, co można samemu zrobić. I to jeszcze we własnym stylu.

Już nie tylko fizyczne produkty, lecz także rozrywka i styl życia mogą być kojarzone z chińskimi firmami. Najlepszym przykładem jest globalna ekspansja TikToka mimo kontrowersji pojawiających się w wielu krajach. Władze USA chciały zamknąć swój rynek dla tych cyfrowych usług, jednak ze względu na wysoką popularność platforma ta nadal dostarcza rozrywkę milionom Amerykanów.

Okazuje się, że chińskie firmy są bardzo skuteczne nie tylko w podążaniu za trendami, lecz także w ich kreowaniu. Laleczki Labubu stały się (przynajmniej chwilowo) światowym fenomenem. Sieć kawiarni Luckin Coffee z siedzibą w Xiamen ma ponad 30 tys. punktów sprzedaży, głównie w Chinach, ale również w Singapurze i Malezji. Jednak to otwarcie w 2025 r. pierwszych lokali na Manhattanie można potraktować jako przełom. Czas pokaże, czy niższe ceny wsparte technologią i atrakcyjnym marketingiem przełożą się na udział w amerykańskim rynku.

Niektóre chińskie firmy wygrywają w grę, której nauczyły je zachodnie firmy. W wielu aspektach przerosły swoich mistrzów, którzy nagle obudzili się w nowej rzeczywistości, w której ugruntowane przez lata przewagi już nie pozwalają na dalszą ekspansję rynkową i osiąganie wysokich marż. Szczególnie widoczne jest to w mediach społecznościowych. Obecnie to zachodni influencerzy często rozpływają się w zachwytach nad chińskimi produktami, a nawet nad chińskim państwem.

To jest też kryzys soft power Stanów Zjednoczonych. Według ostatnich badań przeprowadzonych na zlecenie Alliance for Democracies Foundation, więcej osób wyraża negatywny stosunek do USA niż nawet do Rosji. Wynika to z międzynarodowego odbioru polityki obecnej amerykańskiej administracji. Trudno zliczyć narody i przywódców, którzy zostali w ten czy inny sposób dotknięci komentarzami gospodarza Białego Domu. Chiny odnotowały w tym badaniu pozytywną percepcję. Nawet w samych Stanach Zjednoczonych odsetek osób, które wyrażają negatywny stosunek do Chin, ostatnio maleje mimo bardzo gorącej retoryki podkreślającej różnorakie zagrożenia ze strony tego państwa.

Kiedy przywództwo wolnego świata nie promuje już wartości, które były immanentną cechą gospodarki globalnej, pojawia się miejsce dla nowych koncepcji. A w marketingu liczy się efekt świeżości. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

eprasa.pl caf54d5d45